



Holandia • Europa • Świat

Scena Polska.nl

nr 1 (105)/2021

www.poolspodium.org

ISSN 1233-7633





ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Drodzy Czytelnicy

Oddajemy do Państwa rąk kolejny numer Sceny Polskiej. Przez prawie trzydzieści lat nasze pismo było „kroniką” polskich wydarzeń kulturalnych dziejących się w Scenie Polskiej w Holandii. W ubiegłym roku zostaliśmy w domach, ale pismo nadal się ukazuje. Jest czas na powrót do wspomnień... Krzysztof Kiesłowski, Krzysztof Kolberger, Krzysztof Kowalewski – co za zbieżność inicjałów. Wielcy ludzie sztuki. Zostały fotografie, filmy, wspomnienia.

Stichting Pools Podium czyli Scena Polska w Holandii powstała w 1992 roku w Delft. W przyszłym roku chcielibyśmy się spotkać na kolejnym Jubileuszu 30-lecia. Na wewnętrznej okładce prezentujemy plakaty z corocznymi wydarzeniami. Najskromniej wygląda ten z 2020 roku. Ale nie możemy się poddawać. W Polsce, pomimo trudnej sytuacji w teatrach, powstają nowe przedstawienia. Polskie filmy podbijają festiwale filmowe, chociaż większość odbywa się online. Ten czas minie i znów spotkamy się w teatrze, na widowni zgasną światła, na scenie pojawi się aktor. To samo z kinem. Obejrzeć film można wszędzie, ale uczestnictwo w festiwalu czy przeglądzie filmowym to niezwykła aura. Spotkania z twórcami, dyskusje, to jakby bycie na planie filmowym.

Zapraszam zatem do lektury pierwszego numeru 2021 roku. Przygotujmy się do spotkań, cieszymy się z tego co było i oczekujemy dalszych wydarzeń. A jeśli chcecie mieć udział w tworzeniu programu Sceny Polskiej w Holandii lub podzielić się własnymi wspomnieniami, piszcie na adres redakcji: poolspodium@gmail.com.

Walka z czasem. Tak mogłabym nazwać starania, żeby nasza Scena Polska

ukazała się na Wielkanoc. O tej walce z czasem słyszy się ostatnio często w goniwie o zdrowie. Czekamy wszyscy na to, aby znów można było żyć jak dawniej. Cieszyć się wiosną, która w Holandii jak zwykle powitała nas dywanami z kwiatów. Zakwitły m.in. forsycje, magnolie... niby jak zwykle i chociaż piękne jak zawsze to jakby trochę wyciszone.

Mam nadzieję, że zdążyliśmy, a pierwszy w tym roku numer dociera do Państwa

na czas. Składam zatem Drogim Autorom i Czytelnikom życzenia Pogodnych Świąt Wielkanocnych. A jeśli spóźniliśmy się do Waszych domów, to przyjmijcie życzenia poświęteczne, pogodnych dni, tygodni i miesięcy. I wiary, że znów spotkamy się w teatrze, na festiwalach filmowych i będziemy znów blisko siebie.

Z pozdrowieniami
ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ



SCENA POLSKA | Nr1(105)/2021 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schrotten-Czerniejewicz i zespół.

WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

www.poolspodium.org

ZDJĘCIA: Archiwum SPP

SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamek | Mac Map

OKŁADKA: Zofia Schrotten-Czerniejewicz

DRUK: Drukarnia Swarzędzka Stanisław i Marcin Witecki sp.j.



Czytajmy Kieślowskiego!

13 marca minęła 25. rocznica śmierci Krzysztofa Kieślowskiego – twórcy, który – w co trudno dziś uwierzyć – niemal w pojedynkę przeprowadził polskie kino z epoki minionej w czasy współczesne.



KONRAD J. ZARĘBSKI

W pojedynkę, bo w momencie transformacji ustrojowej, kiedy inni szermowali hasłem „kino – najważniejsza ze sztuk” i – wbrew zapasce polskiej kinematografii – domagali się utrzymania statusu, jakim film i jego twórcy cieszyli się „za komuny”, Kieślowski nie tylko znalazł sposób na finansowanie własnych projektów, ale i wskazał drogę rozwoju rodzimego kina. Drogę tak intrygującą i zarazem perspektywiczną, że wkrótce znalazł się w gronie najbardziej wpływowych filmowców w historii kina, otoczony gronem fanów swej twórczości oraz naśladowców z różnych stron świata. I wprawdzie przegrał swój bój o Złotą Palmę – jury wolało oddać ją „Pulp Fiction” Quentina Tarantino niż „Czerwonemu” Kieślowskiego – ale ten wieczór w Cannes był momentem wielkiego triumfu: oto film skupiony na człowieku, nakłaniający do myślenia, wyznacza kierunek rozwoju kina w czasach, kiedy najbardziej liczy się migotliwa pogoń za blaskiem i uludą. Nic nie umniejszając warsztatowi i przenikliwości Tarantino, „Pulp Fiction” więcej mówi o swoim widzu niż o kondycji człowieka świadomego zachodzących przemian i – jak to określił wówczas Michael Fukujama – „końca historii”.

Kiedy jednak przyjrzeć się całej twórczości Kieślowskiego, poczynając od dokumentów, okaże się, że w gruncie rzeczy wszystkie jego filmy rozgrywają się nieco wyżej od poziomu percepcji przeciętnego widza. Choćby ten pękający młotek chirurga w filmie „Szpital” (1977) – coś takiego zdarza się niezwykle rzadko, ale, z drugiej strony, czyż nie ma lepszej metafory kruchości życia, gdy zawodzi coś tak pewnego jak właśnie młotek? Albo telewizyjna „Pierwsza miłość” (1974) – o parze młodych kochanków, która staje wobec niespodziewanego a jakże ludzkiego wyzwania: przedwczesnego



Krzysztof Kieślowski fot. Krzysztof Wojciewski

macierzyństwa (i ojcostwa)? A „Dworzec” (1980): warszawski Dworzec Centralny, obwieszony śledzącymi wszystkich i wszystko kamerami? Ulubiona formuła krytyków, że „Kieślowski pokazywał polską rzeczywistość”, po latach okazuje się nieadekwatna: to nie jest wyłącznie polska rzeczywistość, to obraz każdego człowieka w jego środowisku naturalnym. W dodatku autorstwa filmowca, który pokazując w zbliżeniu człowieka o skłonnościach autorytarnych („Z punktu widzenia nocnego portiera”, 1979) zastanawia się, czy go nie przeprosić – wszak mężczyzna robi to w dobrej wierze, zgodnie z oczekiwaniami Systemu.

Retrospectief
Krzysztof Kieślowski
 regisseur van o.a. *Trois Couleurs en Dekalog*
 Vanaf 9 november 2005 in LUX Nijmegen,
 Filmhuis Den Haag,
 Louis Harlooper Complex Utrecht,
 in samenwerking met Pools Podium - Scena Polska
 www.poolspodium.nl www.kieslowski.nl

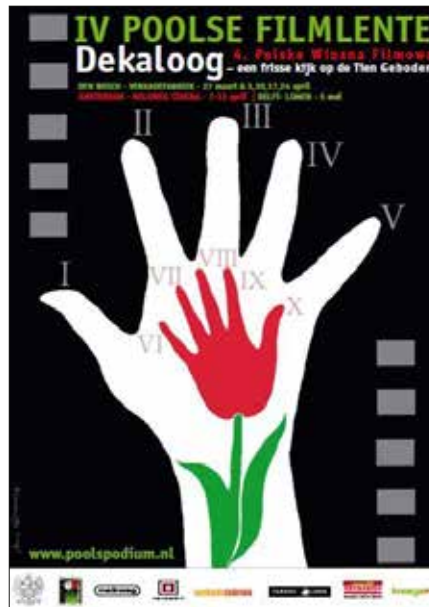
Z filmów fabularnych Krzysztofa Kieślowskiego, realizowanych jeszcze w latach 70., na uwagę zasługują co najmniej dwa, „Amator” (1979) i „Przypadek” (1982/87). „Amator” to pierwszy przebłysk wielkości Kieślowskiego na polu fabuły, a raczej – pierwszy, jaki dane było poznać publiczności: równie dojrzały „Spokój” trzy lata wcześniej skazano na półkę. Zrazu zbyt pochopnie przypisano go do „kina moralnego niepokoju” jako próbę przeniesienia nurtu do środowisk robotniczych, w czym dostrzegano wyrachowanie twórcy, a nawet jego konformizm. Swoje drugie oblicze film zaczął ujawniać dopiero później, gdy opadły emocje spowodowane nagrodami w Moskwie, Koszalinie i na festiwalu w Gdańsku. To wówczas historia Filipa Mosza – robotnika, który sięgnął po kamerę – stała się metaforą dylematów nie tyle człowieka z kamerą, ile wrażliwego rejestratora rzeczywistości. Pytanie, na ile można ją kreować, a na ile wolno – sprawa podstawowa w rodzącej się już wówczas a dziś dominującej kulturze obrazu – w „Amatorze” wiąże się z kwestią odpowiedzialności za słowo, także to wypowiedziane bez słów przez „obiektywną” kamerę. Jest więc „Amator” traktatem o potęgę medium, ale – przede wszystkim – wyznaniem osobistym twórcy o tym, jak w nim samym rodziła się świadomość prze-rażającej siły obiektywu.

„Przypadek” wyróżnia się na tle innych filmów „kina moralnego niepokoju”, manifestujących sprzeciw młodej inteligencji wobec wewnętrznej polityki państwa. Powstał w gorącym okresie „karnawału Solidarności”, na ekrany – ocenzone – wszedł parę lat później. Podobnie jak inne filmy nurtu jest zanurzony w polityce – zbiera doświadczenia pokolenia ówczesnych trzydziestolatków, dorastających pod okiem indoktrynującego Systemu. Ale ważniejsza od polityki w „Przypadku” jest metafizyka – w sensie odpowiedzi na pytanie, co się stanie, kiedy bohater w danej chwili skręci w lewo lub w prawo. U Kieślowskiego wszystko zależało od tego, czy bohater zdąży na pociąg. Sęk w tym, że niezależnie od tego, jaką drogą podąży – awansu politycznego, zawodowego też opowiedzenia się po stronie demokratycznej opozycji, bohater „Przypadku” pozostaje człowiekiem kryształowo uczciwym. I to się w życiu – jakże kruchym, skoro film kończy się katastrofą lotniczą – liczy. Ciekawe, jak przyjęto by „Przypadek”, gdyby Kieślowski zdążył ukończyć go wcześniej i film wszedłby na ekrany w gorącej atmosferze Sierpnia '80.

W czasach, kiedy Krzysztof Kieślowski wraz ze swoim współscenarzystą Krzysztofem Piesiewiczem brał się za „Dekalog”, film telewizyjny – przynajmniej w Polsce – uważany był za pośledniejszy gatunek. Na czas serialowego boomu i filmy telewizyjne dyktujące warunki filmom kinowym trzeba jeszcze chwilę poczekać – do magnetowi-



Reżyser Jos Stelling, podczas retrospektywy swoich filmów w Polsce, odwiedził wystawę poświęconą Krzysztofowi Kieślowskiemu w Muzeum Kinematografii w Łodzi
fot. S. Fijałkowski



dowego boomu, dublującego dystrybucję kinową i telewizyjną. W założeniu autorów „Dekalog” miał być rodzajem przewodnika po życiu – nie tyle dającym gotowe odpowiedzi, ile uświadamiającym skomplikowaną materię najprostszych nawet wyborów – bo życie tak naprawdę składa się w wyborów. Oglądany po latach, nadal zachowuje świeżość – choć nie ma już kraju, w którym się rozgrywały kolejne opowieści cyklu. Kraju nie ma – to prawda, także miasto jest inne (choć to samo), ale ludzkie problemy (i wartości, o jakie się ocierają) są ciągle aktualne. Świeże również jest to, że choć mamy do czynienia z cyklem stricte autorskim, każdy odcinek jest inny: powierzenie kolejnej opowieści innemu operatorowi było zabiegiem genialnym. Uderza uniwersalność cyklu: każdy fragment, ilustrujący poszczególne tezy Dekalogu, różni się od innych – wszak odnosi się do innych (współczesnych, choć

odwiecznych) kwestii, inaczej też zostaje opowiedziany. A przy tym zachowuje spójność, pozostaje całością i jako całość oddziałuje na widza. Oto precyzja warsztatu z jednej strony, z drugiej zaś intelektualna wartość przesłania – dziesięć jakże prostych (czasem wręcz banalnych) sytuacji, które pozwalają spenetrować zaskakująco szeroką przestrzeń ludzkich pragnień i wątpliwości.

Zrealizowany przed transformacją ustrojową, ale pokazany już po upadku komunistycznego reżymu „Dekalog” okazał się doniosłą cezura w dziejach polskiej kinematografii, nie mówiąc o osobistym dorobku Krzysztofa Kieślowskiego. Zanim cykl „Trzy kolory” okazał się prawdziwym tour de force reżysera – i zarazem ostatnim jego dziełem (z powodu choroby nie kontynuował już drogi artystycznej, obdzielając swoimi pomysłami kolegów, by wspomnieć ujmujące prostotą „100 lat w kinie” Pawła Łozińskiego), Kieślowski nakręcił skromny film „Podwójne życie Weroniki” (1991), stanowiący kwintesencję jego myślenia o tym, czym powinno stać się kino po transformacji.

Oto mamy dwie podobne sobie jak dwie krople wody dziewczyny (grane przez tę samą aktorkę Irene Jacob) – jedna dorasta w Polsce, druga we Francji. Ich historie rozgrywają się w nieco umownej rzeczywistości, choć na ekranie widać Kraków i Paryż. Polka zdecydowanie dąży do celu, którym jest śpiewanie muzyki poważnej – i umiera na serce podczas swego debiutanckiego koncertu. Francuzka, w poczuciu uświadamianej, choć nie do końca zrozumianej straty – przerywa karierę muzyczną i koncentruje się na sobie: wyczuwając szmery serca idzie do lekarza. Nie jest tak zdeterminowana w dążeniu do sukcesu, postępuje rozważnie, zastanawiając się nad każdym krokiem.

„Podwójne życie Weroniki” to film-zagadka – przyciągający tajemnicą niczym otwarta książka i kuszący urzekającą ścieżką dźwiękową Zbigniewa Preisnera, który na potrzeby dzieła wymyślił niderlandzkiego kompozytora Van Den Budenmayera (powracającego zresztą w „Trzech kolorach”). Polscy krytycy, przyzwyczajeni do politycznej interpretacji rodzimego kina, okazali się wobec „Podwójnego życia” bezradni. A może to dość szczególny – przepuszczony przez filtr wrażliwości reżysera – opis wyboru, przed jakim staje każdy z nas, a nie każdy jest do niego przygotowany? Spekulacje wobec sensów i znaczeń, płynących z „Weroniki” od ćwierćwiecza pozostają nierozstrzygnięte. A może obejrzenie tego filmu jeszcze raz, pozwoli odczytać właściwy trop?

Gdyby żył, Krzysztof Kieślowski docho-dziłby dziś osiemdziesiątki. To wiek, w którym mistrzowie kina nadal kręcą filmy. Nowych filmów Kieślowskiego – niestety – już nie będzie, ale czemu nie sięgnąć po te dawne, by odczytać je na nowo. Czytajmy więc Kieślowskiego. Warto! ■

O Wilku z Owczarni

KONRAD J. ZARĘBSKI

W Polsce ciągle pokutuje obraz artysty z czasów romantycznych: cherlawego suchotnika szczelnie owiniętego czarną peleryną. Widząc Mariusza Wilczyńskiego ludzie nie rozpoznają w nim artysty, w dodatku – cenionego na całym świecie. Wzrost koszykarza, ramiona szerokie jak u zapaśnika, na głowie długie dredy wystające spod melonika (wersja galowa) albo czerwonej wełnianej czapki. A do tego mimo tej groźnej sylwetki – niezgłębione pokłady czułości i szczególnej wrażliwości. Bywa, że po kilku zamienionych zdaniach z przypadkowo poznanym człowiekiem, każe mówić do siebie „Wilku”. A to nie koniec paradoksów – jak na prawdziwego Wilka przystało, mieszka w lesie, a dokładniej w osadzie Owczarnia pod Podkową Leśną.

Wilczyński jest w wykształcenia malarzem po Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi, wziętym performerem, scenografem, scenarzystą i reżyserem filmów animowanych (których nakręcił tuzin, nie licząc 200 księgołpów, animowanych zwiastunów książek). Był także autorem oprawy graficznej kanału TVP Kultura i jednym z redaktorów programu „Po godzinach”, gdzie zaproszeni do prywatnego mieszkania goście dyskutowali o bieżących wydarzeniach kulturalnych: program nagrywano i emitowano (po kilku dniach) około północy.

Animacji nauczył się sam, sam też rysuje swoje filmy, fotografuje, a nierzadko też ilustruje skomponowaną przez siebie muzykę. Jest jedynym, jak dotąd, polskim animatorem, który pokazał swoje prace (już dwukrotnie!) w nowojorskim Museum of Modern Art. Jest też jednym z niewielu polskich animatorów, który pokazał swoje dzieło na dedykowanym fabule festiwalu filmowym w Gdyni i jedynym, który ten festiwal wygrał.

W twórczości Wilczyńskiego liczą się dwa elementy – rysowanie i muzyka: jego per-



Andrzej Chyra, Małgorzata Kożuchowska, Mariusz Wilczyński, Anja Rubik | © Berlinale

formerskie spektakle polegają na rysowaniu „na żywo” w rytmie muzyki. A w tym działaniu towarzyszą mu czołowi muzycy – Michał Urbaniak, Wojciech Waglewski, Leszek Możdżer, wcześniej Tomasz Stańko, oraz renomowane orkiestry kameralne z Paryża, Tokio, Lwowa czy Genewy. Także film, który przyniósł mu Złote Lwy w Gdyni, „Zabij to i wyjedź z miasta”, oparty jest na tych dwóch filarach – muzyce i kresce. Przy czym kreska Wilczyńskiego przypomina (jak zawsze) dziecięce rysunki, a muzyka należy do najlepszych z najlepszych – to melodie ofiarowane Wilkowi przez jednego z najserdeczniejszych przyjaciół, bluesmana Tadeusza Nalepę, twórcę zespołu Breakout, który swego czasu zastąpił mu ojca.

Streszczenie filmu jest trudne, niemal niemożliwe: niby poszczególne wydarzenia układają się w ciąg przyczynowo-skutkowy, ale w pewnej chwili orientujemy się, że przeszłość miesza się tu z teraźniejszością, to, co się wydarzyło, z tym, co się zdarzyć nie mogło (ale wydarza się na ekranie). Tą historią rządzi logika snu. Wraz z bohaterem – czasem dojrzałym mężczyzną, czasem małym (choć

szybko dojrzewającym) chłopcem – zanurzamy się w mroczną (by nie powiedzieć: ponurą) przeszłość: jedziemy tramwajem przez Łódź lat 70., rozświetloną jednym dziwacznym neonem. Za chwilę wsiądzimy do pociągu i pojedziemy nad morze, tylko przez moment powspominamy niedaną Wigilię i odwiedzimy w szpitalu umierającą matkę reżysera. A nad morzem zachwycimy się otwartą przestrzenią tak bardzo, że zlekceważymy troskę matki, dopytującej o błąkającego się bez celu malca. Wokół nas trwa nieprzerwana feeria wrażeń – kot Behemot z „Mistrza i Małgorzaty” (to następny projekt Wilka), chwile ze szczęśliwymi rodzicami, muzyka Nalepy, rozświetlone słońcem morze, piaszczysta plaża. No i mnóstwo głosów – wybitnych aktorów, żyjących i nieżyjących (zmarłych dawno i raptem parę tygodni temu), a obok nich głosy Tomasza Stańki, Andrzeja Wajdy, Janusza Kondratiuka (którzy zdążyli nagrać swoje kwestie, zanim odeszli) i Gustawa Holoubka (w kwestii wyjętej z innego filmu).

„Zabij to i wyjedź z miasta” jest niezwykle filmem. Z jednej strony to historia chłopca z rozbitej rodziny, który we śnie próbuje ułożyć sobie życie, z drugiej zaś – spojrzenie przez ramię w przeszłość każdego, kto przyszedł na świat przed 1989 rokiem (Wilczyński to rocznik 1964). Z jednej strony opowieść o dojrzewaniu nietuzinkowego artysty, z drugiej – próba ocalenia etosu polskiego inteligenta (choćby poprzez to przytoczenie ważnych dla każdego z nas głosów i obrazów, nie mówiąc o muzyce Nalepy, oraz poprzez niezwykłą w kinie czułość, z jaką Wilczyński opowiada o doświadczeniach swego pokolenia, a także nieco starszych kolegów). A sądząc po nagrodach z Francji, Kanady, Japonii, Peru czy Serbii – przesłanie, jakie niesie Wilk z Owczarni, zdaje się przemawiać do każdego, niezależnie od szerokości geograficznej. ■



Kadr z filmu „Zabij to i wyjedź z miasta”



Złote Lwy

45. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych odbywał się on-line w dniach 8-12 grudnia 2020 roku w Gdyni. Wielką Nagrodę „Złote Lwy” 45. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych dla najlepszego filmu „Zabij to i wyjedź z tego miasta” otrzymali reżyser Mariusz Wilczyński oraz producentki: Ewa Puszczynska i Agnieszka Ścibior. Po raz pierwszy w historii Festiwalu



Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni nagrodę dla najlepszego filmu otrzymała pełnometrażowa animacja.

46. Festiwal w Gdyni tradycyjnie we wrześniu

Tegoroczna edycja Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych odbędzie się w Gdyni w dniach 20-25 września 2021 roku. Podczas posiedzenia 1 lutego 2021 roku Komitet Organizacyjny PPF podsumował grudniową edycję Festiwalu oraz zaplanował termin tegorocznej, która ma się odbyć w tradycyjnie we wrześniu. Zgodnie z zamierzeniami organizatorów wydarzenie ma mieć formułę stacjonarną. W związku z tym spodziewany jest udział twórców filmowych, dziennikarzy i krytyków oraz widzów zainteresowanych polskim kinem.

Dziwna rzecz, ten cały TEATR



AGATA GRENDA

Właśnie wróciłam z premiery „Marii” Simona Stephensa, w reż. Andre Ochodlo w Teatr Nowy Poznań i chcę się podzielić pewną refleksją. Setny raz oglądałam na scenie jednego z rodziców. Od kiedy pamiętam okłaskuję ich w bajkach, komediach, dramatach, farsach, you name it.

Jest jednak taki rodzaj występów z którym mam zawsze problem – jako ich dziecko. I do dzisiaj tego nie kumam.

Gdy miałam 10 lat i tata (Janusz) dźgał mamę (Daniela) sztyletem, pozbawiając ją życia w „Angelo, tyran Padwy”, to rodzice już myśleli, że dygnę temat i miałam pokazany sztylet przed spektaklem i wytłumaczone że jest sztuczny i że to jest, hello, TEATR. Ale nie dygnęłam i jak Mała Mi prawie

wdarłam się na scenę – babcia mnie wyjąca wyprowadzała w trakcie przedstawienia.

Potem miałam 12 lat i pamiętam jak tato ćwiczył w domu trzymanie głowy w misce pełnej wody, bo w spektaklu „Przedstawienie pożegnalne” kolega go podtapiał na scenie, w jakiejś balii. I on ćwiczył, żeby wytrzymać jak najdłużej. I przecież pamiętam jaki był zadowolony, że dzisiaj trzymał głowę w misce 3 sekundy dłużej niż wczoraj. A potem na spektaklu i tak myślałam, że umrę z nerwów.

Już jako dorosła kobieta zobaczyłam „Królową piękności z Leenane”, w której nie tylko moja mama marnuje sobie całe życie, ale w końcowej scenie stoi, z pogrzebaczem w ręku, bo właśnie zaciukała swoją zaś mamusię, Krystynę Feldman. A wcześniej przypalała jej ręce gorącym tłuszczem z patelni.

No a dzisiaj, jako babcia głównej bohaterki, wzięła mi matka i w ostatniej scenie wyzionęła ducha. I leżała tam taka wyzionęta.

Ja uważam, że dzieci aktorów powinny mieć zapewnioną darmową opiekę psychologiczną do końca życia. Bo kończę w tym roku 45 lat, a do dzisiaj mam ochotę wdrzeć się na scenę w takich momentach. To jest bardzo dziwna rzecz, ten cały TEATR.



Z mamą, aktorką Danielą Poptawską.

Fot. Elżbieta Orhon-Lerczak

Zgłupiałem kompletnie. Jeżeli chodziło im o „to”, czego się domyślałem... tylko po kiego grzyba cały ten cyrk?! Tym razem ja postanowiłem z niego coś wyciągnąć i chyba mi się udało. Ściszyłem nieco głos i uśmiechając się zagadnąłem:

– Propozycja godna rozważenia. Mam jednak sporo czasu... Ale tak po starej znajomości...po coście mnie tu ściągnęli?

Mój rozmówca poczuł się pewnie. Siorpnął herbatę i zaczął:

– Widzisz Jacku, jesteś chłopakiem inteligentnym, byстрыm. Umiesz się znaleźć w każdym towarzystwie a co najważniejsze w każdym środowisku. Pracując w Kaliszu mógłbyś mi pomóc. Z mieszkaniem nie będziesz miał problemów...

Z niedowierzaniem już poważnie pokręciłem głową i spojrzałem mu głęboko w oczy. On lekko zakłopotany kontynuował:

– Ale głównie oczywiście chodzi o sztukę, teatr i jego poziom, ma się rozumieć... Z tego co wiem masz dobre notowania!

Znów wziął mały łyk herbaty. Wziął moje pisemne zeznanie, wstał i podszedł do szafy z której wyjął tekturową teczkę. Włożył do niej relacje z przebiegu obchodów 5 lecia Klubu Jazzowego a później z różnych raportów, zaczął po kolei, czytać...przeróżne moje sztubackie wybryki, które prawie każdy w pewnym wieku wyczyniał. Miałem teczkę... Kurwa mać!!! Trzęsło się we mnie wszystko! Nie wiem jak to zrobiłem, ale potrafiłem na tyle się uspokoić że wydukałem:

– Przemyszę to. A teraz... pójde już do matki.

Wstałem i wyszedłem z pokoju nie zamykając za sobą drzwi. Zdaje się że jeszcze coś do mnie mówił... zbiegłem po schodach.

Wróciłem do Warszawy. Po jakiś dwóch miesiącach przed zajęciami, Kaśka Hanuszkiewicz – nasza starościna roku, powiedziała że jakiś facet z teczką czeka na mnie w szkolnym bufecie...

– Pan do mnie? – Zapytałem badawczo.

– Pan Kałucki?

– Tak, słucham. – Dosiadłem się i spokojnie czekałem na rozwój wypadków.

– Słyszałem że pan się para... konferansjerką.

– Ja?! To chyba jakaś pomyłka! Skąd ma pan takie wiadomości?

Musiałem być bardzo nabuzowany bo nieznajomy z autentycznym zakłopotaniem powiedział:

– Nie rozumiem skąd te nerwy? Reprezentuję organizatorów festiwalu Złota Tarka. Koncert laureatów odbędzie się za tydzień w klubie „Stodoła”. Ponieważ jest parę groszy do zarobienia, z przewagą paru, postanowiliśmy zwrócić się do Szkoły Teatralnej... może któryś ze studentów doprowadziłby tę imprezę?



Zajęcia z pantomimy – Orfeusz Jacek Kałucki, Eurydyka Anka Kowalska.

Fot. arch. autora

Co oni jeszcze kombinują!? Coś mi przyszło do głowy...

– Bardzo jest mi miło, ale czy mógłbym panu dać odpowiedź jutro. Muszę jeszcze coś sprawdzić... Zadzwonię do pana.

Jegomość na serwetce napisał numer telefonu.

– To co, do jutra. Później omówimy sprawy finansowe.

Wstał. Wziął teczkę. Ucisnęliśmy sobie ręce i poszedł. Pobiegłem do Tadeusza Fabera – dyrektora administracyjnego Szkoły. Kiedyś dowiedziałem się że ma tu i ówdzie różne kontakty i znajomości. Powiedziałem mu wszystko, począwszy od występów kaliskich, aż do gościa z teczką włącznie. Po południu poprosił mnie do gabinetu:

– O Kaliszu owszem, coś obilo się o uszy. A jeśli chodzi o propozycję koncertu w „Stodole” to... żadna prowokacja, jednak uważaj na słowa. Trzymaj się!

Koncert wypadł świetnie. Ja zarobiłem parę groszy z przewagą paru. A facet z teczką, trafił do mnie rzeczywiście przypadkowo. Jak wszedł na Uczelnię, pierwsze kroki skierował do ZSP. Tam w wolnych chwilach

urzędowała Kaśka. Kiedy powiedział o co mu chodzi, ta skierowała go do mnie. Słyszała o mojej kaliskiej, jazzowej eskapadzie. I tyle.

W tym roku, w Instytucie Pamięci Narodowej odnalazłem dwa dokumenty dotyczące mojej osoby. Pierwsza adnotacja dotyczyła tego, że od 29.05.1985 r. miałem wydane przez Stołeczny Urząd Spraw Wewnętrznych zastrzeżenie wyjazdów za granice na 2 lata. Uśmiechnąłem się kiedy przeczytałem, że... w dokumentach jest brak informacji o powodzie zastrzeżenia – ja go znam! Natomiast druga notatka – nie wierzyłem własnym oczom(!), brzmiała następująco:

W okresie od 06.11.1976 r. do 09.03.1977 r. ob. Jacek Krzysztof Kałucki s. Edwarda, był w zainteresowaniu KWMO w Kaliszu w ramach sprawy operacyjnego sprawdzenia o kryptonimie „Komik”. Sprawa dotyczyła „negatywnych politycznych wystąpień w czasie oficjalnych imprez w WDK Kalisz” i została zakończona rozmową profilaktyczną 28.02.1977 r. Akta sprawy zniszczono.

Tak mi się jakoś czknęło...

Mój warsztat pracy dawniej i dziś*

PIOTR C. KOWALSKI

Urodziłem się w 1951 roku w Mieszkowie koło Jarocina. Dyplom z malarstwa w 1978 roku obroniłem w pracowni profesora Stanisława Teisseyre'a w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu. W latach 1993–1999 byłem dziekanem Wydziału Edukacji Artystycznej tejże uczelni. Od 2000 do 2015 roku prowadziłem studencką galerię „Na Polskiej” w Poznaniu. W latach 2003–2005 byłem założycielem i kuratorem I, II i III Kolekcji Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Obecnie na Uniwersytecie Artystycznym im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu, jestem kierownikiem Pracowni Malarstwa X. W latach 2010–2014 w Akademii Sztuki w Szczecinie, a w latach 2014–2017 w Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gępcerta we Wrocławiu, prowadziłem równoległe Pracownie Malarstwa. Od 2004 roku wspólnie z Joanną Janiak realizuję cykle Megabajty malowania i Obrazy mroźne. Jestem autorem cykli obrazów Przejednych i Przejściowych, będących zapisem życia miasta i powstających przy współudziale innych ludzi, a także obrazów realizowanych bezpośrednio w naturze, pt. Żywa natura – Martwa natura między innymi:

- obrazów smacznych, bardzo smacznych i niesmacznych,
- obrazów przejściowych, przejezdnych i przelotnych,
- obrazów granicznych, przygranicznych i zagranicznych,
- obrazów grzecznych i grzesznych, czyli niegrzecznych,
- obrazów przerzniętych oraz jeszcze nie przerzniętych,
- obrazów lekkich, bardzo lekkich oraz obrazów ciężkich,
- obrazów podwędzonych,
- obrazów malowanych w pełnym słońcu, w cieniu, bez cienia i bez cienia wątpliwości,
- obrazów malowanych w schroniskach, na szlaku i takich które szlag by trafił,
- obrazów malowanych bez ram, w ramach i w ramach przyjaźni,
- obrazów malowanych na sztaludze, pod sztalugą, obok sztalugi i zamiast sztalugi,
- obrazów malowanych na wysokim i na niskim poziomie (Giewont i kopalnia Lubin),
- obrazów malowanych w pionie, w poziomie i na odpowiednim poziomie,
- obrazów malowanych na ogniu,
- obrazów malowanych na gazie, co prawda niewielkim, ale jednak,



- obrazów malowanych szybko oraz bardzo szybko,
- obrazów malowanych wolno i takich, których zdawać by się mogło, że nie wolno ich malować.

Wszystkie Obrazy parawany są tego samego formatu, czyli 205 x 360 cm. Powstawały w różnych częściach kraju, najczęściej na terenach przygranicznych, a także za granicą, czyli w Holandii, Francji i Hiszpanii.

Najpierw był Bełcz Wielki w 1988 roku, a potem kolejno między innymi: Gębice, Skoki, Łask, Grabanów, Turno, Ostrów Lednicki, Boszkowo, Ustka, Jankowice, Chodzież, Giewartów, Rokosowo, Wałcz, Barlinek, Lubniewice, Dźwirzyno, Strzegom, Kobylepole, Biały Bór, Warta, Słonne, Borowice, Jabłeczna, Lubieszewo, Gorzów Wielkopolski, Świnoujście, Nijmegen,

Załęcze Wielkie, Awinion, Wielka Bieda, Koszalin, Gąski, Jarocin, Toledo, Poznań, Opole i obecnie Nienawiszcz.

Moją pracownią, moim warsztatem pracy jest to miejsce, gdzie akurat jestem, gdzie akurat przebywam i maluję. Obrazy powstają w sposób naturalny: gdy świeci słońce, gdy pada deszcz czy śnieg, gdy jest mgła, gdy jest burza czy silna wichura. Obrazy powstają i w dzień, i w nocy.

Dla tych obrazów nigdy nie było i nie ma złych pór roku ani złych warunków atmosferycznych. Bo np. jeżeli obraz został złamany w czasie burzy, to ja to zaakceptowałem.

Obrazy te powstają krótko, czyli w ciągu kilkunastu dni, albo długo, w ciągu dwóch, a nawet trzech lat. Przy malowaniu w plenerach zawsze jest sporo gapiów i „doradców”, najczęściej na plaży. Ci „doradcy” raczej nie milczą, ale podpowiadają i sugerują co i jak powinienem malować. Starają się być jak najbardziej użyteczni. Ale jeżeli mnie nie ma przy obrazie, to gryzmołą palcami niewyschniętą jeszcze farbą po obrazie. Często są to takie wyrazy jak: „h...j”, „pi...a”, „ty h...u j...y”. Wtedy mam dylemat – zamalować czy uszanować i pozostawić tą „jakże twórczą”, ludzką naturę. Decyzja zawsze jest jedna – zostawiam.

Dzisiaj natomiast, jadąc na plener, nie zabieram nic, żadnej farby, żadnego narzędzia. Czekam, szukam i rozglądam się, co zastanę na miejscu, w którym będzie powstawał obraz. Obecnie nie potrzebne już mi są tony farb, żadne narzędzia, już niczego nie muszę dźwigać. Niepotrzebne mi są również najnowsze technologie. Samo miejsce staje się materiałem do tworzenia i pracownią – warsztatem zarazem.





Od dłuższego czasu malując bezpośrednio w przyrodzie, zbliżyłem się do niej jeszcze bardziej, z tej racji, że między mną a materiałem, którego aktualnie używam, nie ma pośredniego narzędzia. Rękoma zrywam owoce, palcami rozgniatałem je bezpośrednio na płótnie, zostawiając zarazem ich i własne ślady. Poza tym, kiedy jestem głodny, mogę do woli zjadać te moje „farby”, a nie tak jak dawniej, najpierw myć ręce albo jeść w rękawiczkach, bo być może, malując, używałem również bieli ołowiowej.

Owoce, których używam, zmieniając miejsce swego przeznaczenia, prowadzą specyficzny dialog między sobą. Następuje zmiana ulotności w ciągłe trwanie. Chcę pokazać, jak dramat życia organicznego przemienia się w dramat sztuki. Jak forma jednego życia przechodzi w formy drugiego życia.

Najnowszy obraz nosi tytuł Nienawiszcz 2019–2020. Cały rok stał w wodzie, w sta-



wie znajdującym się nieopodal domu. To jest mój pierwszy obraz wodny albo podwodny, gdyż dolna część cały czas była zanurzona. Poziom wody się zmieniła, więc jednocześnie i obraz się zmienił. Poza tym to cały czas było inne, gdyż najpierw była jesień, potem zima, wiosna i wreszcie lato. Koniec jego realizacji, jego powstawania miał miejsce 2 września 2020 roku, czyli równy rok od momentu jego „zakotwiczenia”.

Jak już wspomniałem wcześniej, obrazów Parawanów powstało kilkadziesiąt a ile ich jeszcze powstanie, nie wiem. ■

* fragment większej całości tekstu pt. „Mój warsztat pracy dawniej i dziś” wydawnictwa UMK w Toruniu, pt. „Warsztaty artysty” – tom II, 2021 r.

ZDJĘCIA: TYMON KOWALSKI I JOANNA JANIAK



Graliśmy jak z nut!



EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI

Znowu się udało! Chociaż gwoli prawdy – że posłużę się ulubioną frazą niezapomnianego Jerzego Pilcha – powiedzieć, że się udało, to nic nie powiedzieć. Przeszło nasze najsmielsze oczekiwania, zaskoczyło absolutnie każdego z nas! Mowa tu, oczywiście, o ostatniej edycji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. W ogóle, ale i w Niderlandach, a w „naszym” Amsterdamie szczególnie. Orkiestra, organizowana przez Bibliotekę Polską w Amsterdamie (a wcześniej przez Dom Polski tamże) we współpracy z przychodnią GGZ Keizersgracht, już od ładnych kilku lat poprawia regularnie swoje wyniki czyli bije rekordy zebranych pieniędzy. Tak stało się i tym razem. Pomimo pandemii, wbrew ograniczeniom dotyczącym poruszania się, zbierania się i braku możliwości organizacji imprez na żywo, udało nam się przekazać do Sztabu w Warszawie ponad 24 tysiące euro!

Czy był to efekt połączenia w tym roku sił ze sztabami Hagi, Schiedam i Rotterdamu? Nie wiem, może, choć każdy sztab zbierał na swój rachunek. Zresztą, tam też padły rekordy, więc w sumie nie ma to większego znaczenia. Myślę, że przyczyn było więcej; i to, że Finał Orkiestry został o trzy tygo-



dnie przesunięty, przez co puszkami wystawione były dłużej dla chcących się dołożyć, i to, że sam Finał rozciągnięty był od piątku po południu do niedzielnego wieczora, i to, że przedmioty na aukcji na Allegro sprzedały się doskonale, a i aukcje online cieszyły się dużym wzięciem, i to, że atrakcyjna okazała się tegoroczna oferta muzyczna (koncerty online były świetne i masowo oglądane). Bardzo dużo firm i osób prywatnych sponzorowało nas w tym roku, pomagało czy to gotówką czy to produktami oferowanymi na aukcje i należą się im niezwykle gorące podziękowania. Ale takie same wyrazy należą się każdemu, kto dołożył swoją cegiełkę – choćby była ona najdrobniejsza. Bez Was nie byłoby tego sukcesu. Okazało się, po raz kolejny, że kiedy trzeba, to ludzie mają otwarte serca i także portfele i gotowi są zapłacić nie tylko 850 euro za beczułkę whisky, nie tylko 1750 złotych za obraz czy 50 euro za dwie kromki chleba ze smalcem,

kielbasę i kiszzonego ogórka, ale także wrzucić do puszek zwiłki banknotów o wysokich nominałach. Że już nawet nie wspomnę o tych – jakże cennych, bo zapewne pamiątkowych, – dziesięciu niemieckich markach (na szczęście – zachodnich), 20 rosyjskich – a może nawet radzieckich? – kopiejkach czy też kilkudziesięciu brazylijskich centavos. Takich „skarbów” było zresztą co niemiara, więc Komisja Finansowa nauczyła się przy okazji, na jakie to egzotyczne jednostki dzielą się waluty różnych, często bardzo egzotycznych, krajów.

Oczywiście wszystko to byłoby niemożliwe, gdyby nie istniała wśród nas grupka zapaleńców gotowych poświęcić swój czas – dużo czasu! – i ogromną ilość energii na ogarnięcie wszystkich tych drobnych elementów i skłecenie z nich tego wielkiego Finału. To dzięki nim Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy mogła ponownie odnieść taki sukces. W Polsce i w Amsterdamie.

PS. Na koniec jedna drobna uwaga dotycząca Sztabu w Warszawie. Ja wiem, że Sztab ten robi, co się da, żeby ta ogromna Akcja się udała. Wiem, że władze i tak zwane pravicowe media rzucają Orkiestrze kłody pod nogi i uważnie patrzą na ręce próbując złapać na najmniejszej choćby nieprawidłowości. Ale wczucie się czasem choćby troszeczkę w działalność nas tutaj, za granicą, w warunki, w jakich organizujemy tę zbiórkę, w przeszkody, z którymi musimy walczyć bardzo by pomogło. Szczególnie w tym roku, przy wszystkich lokalnych obostrzeniach „covidowych” było to niezwykle istotne. Dobrze by było, żeby biurokracja nie zabiła naszych chęci grania w Orkiestrze. Przy całym wysiłku, który w to wkładamy, naprawdę niewiele czasem wystarczy, żeby coś w nas pękło. Nie wolno raczej do tego dopuścić.



Wiosna w trudnym czasie pandemii



DANUTA SZCZECHOWIAK

Zanim się obejrzelśmy minęła Gwiazdka, Nowy Rok, a już Wielkanoc.

Pogoda wbrew kalendarzowi bardzo zimowa, ale wiadomo „w marcu jak w garncu” – jednego dnia plus 10, a następnego ... minus 5.

Do życia budzą się nie tylko rośliny, ale i zwierzęki. Do domowych „stołówek” przylatuje coraz więcej ptaszków – nie tylko wróble i sikorki, które korzystały z poczęstunku przez całą zimę, ale pojawiły się ruzdziki i różne, których nazwy nie znam. W za oknem ruch, a w słoneczne dni „teatr cieni”...

Kolejnym przejawem wiosny są dzikie jeże. Opiekuję się nimi już od ośmiu lat. Zaczęło się niewinnie ... Nasz pies znalazł w ogrodzie rannego jeża. Prawdopodobnie skaleczył się podczas przechodzenia pod siatką ogrodzenia. Zabezpieczyłam, wyleczyłam i wrócił na wolność. Pochwaliłam się znajomym no i ... się zaczęło. Wiosną zaczęły pojawiać się jeże, które były słabe po hibernacji. Później maluchy, których matkę zabił samochód lub kosiarka. Takie maluchy wymagały karmienia strzykawką co 2



godziny, w dzień i w nocy. Do tego masowanie brzuszku więc praktycznie przy 4-6 sierotkach jeszcze nie skończyłam karmić ostatniego to pierwszy już czekał na następne śniadanko. Coraz więcej czytałam i poznawałam życie tych cudownych zwierzątek. Po odchowaniu wracały na wolność, najczęściej na teren naszego ogrodu. Teren duży (prawie hektar) więc warunki dla nich dobre, a awaryjna stołówka czynna 24/h.

Opiekujmy się przyrodą, dbajmy o siebie!

C h w a ł a w e s o ł k o m



JERZY SKOCZYLAS

Ochroniajmy wesołków i kpiarzy, humorystów, autorów kawałów. Dzięki nim zdarza nam się uśmiechać wśród topieli smutków i banałów. Owszem, cieszą nas ptaszki i żuczki, płatki śniegu czy pachnące kwiecie, lecz pomyślcie jak byłoby nudno bez zgrywusów krążących po świecie. Chwała tym co rozdają uśmiechy i pogodę malują na twarzach. Sława wszystkim prawiącym nam wice jak przychodzi baba do lekarza. Pokłon ludziom mówiącym kawały, o teściowej kompletnej kretyńce. Honor dla tych, co w zanadrzu mają zawsze dowcip o durnej blondynie. Chapeau bas i uznanie dla Jasia

co na lekcjach dokucza swej pani. Cześć autorom facecji o mężach wracających do domu na bani. Poważanie dla gazdy i bacy co z ceprami gadają na turni. Laur złoty dla twórców anegdot, jak to Polak z Ruskich robi durni. Chrońmy naszych trefnisiów, jajcarzy, oni pokarm nam dają radosny. Ich imieniem nazwijmy ulice, skwery, place, zaułki i mosty. Oni dają nam więcej radości niż wybitnych artystów paleta. W końcu każdy potrafi od biedy coś zaśpiewać lub zagrać Hamleta. Ale dowcip wymyślić, rozśmieszyć, to zadanie po stokroć trudniejsze. Więc hołubmy naszych rozbawiaczy jako perły te najszlachetniejsze. Stwórzmy dla nich narodowe święto, niech to będzie dzień wolny od pracy. Niech się wówczas raduje kraj cały, niech się w śmiechu zjednoczą rodacy. Niech w ojczyznę wyruszą w pochodach ojciec z córką, syn i matka Polka. Niechaj suną w płasach i podskokach, mkną na szczudłach i na deskorolkach. Niech dnia tego wielcy oficjele,

delegacje rządowe i szkoły złożą wieńce w imieniu narodu, tam gdzie leży Nieznany Wesoły. Niech położą je przy werbli wtórze, po czym szarfy poprawią z pośpiechem i niech potem, wszyscy, na trzy cztery gruchną takim spazmatycznym śmiechem, że się z tego rechotu przewrócą, zaczną tarzać po kamiennym bruku, wić i turlać w szaleńczej ekstazie wśród chichotów, spazmów, do rozpuku. I ten śmiech niech się niesie do morza, od Giewontu się echem odbije... Posłuchajcie! To naród się śmieje! Skoro tak! To istnieje! To żyje!!!



Kresowe repetytorium



MARZENA DRZEWIŃSKA

Kresy wschodnie, to dla wielu brzmi romantycznie, sentymentalnie, a czasami i dziko! Przed oczami stają sceny z Trylogii Henryka Sienkiewicza, zwłaszcza „Ogniem i mieczem” i „Pana Wołodyjowskiego”. Myślimy o bezkresnym krajobrazie, dzikich stepach i pięknych zamkach i pałacach. Większość zapewne wie, w jakich barwach jest ukraińska flaga. Ale czy ktoś wie, dlaczego ma takie kolory? Już spieszę z odpowiedzią: to błękitne, lipcowe ukraińskie niebo i niekończące się żółte morze słoneczników! Można tak stać i patrzeć na to godzinami.

Ale nie tylko po to tu przyjeżdżamy. Kresy to oczywiście i Polacy na Kresach i polskie pamiątki prawie na każdym kroku. Głównie, to w większości zrujnowane kościoły katolickie fundowane przez właścicieli ziemskich o znajomych, polskich nazwiskach. Zazwyczaj, w niedalekiej odległości znajduje się cmentarz, na których znów znajdują się, czasami bardzo piękne nagrobkami, dedykowane polskim przodkom. Niestety, i one przedstawiają opłakany stan: zarośnięte krzakami, walącymi się



Cmentarz w Krakowcu

drzewami i często zdewastowane już w czasie wojny i ciemnego komunizmu.

Polacy mieszkający na Ukrainie starają się dbać o nie w miarę możliwości, ale są to już jednak ludzie starsi, a cmentarze duże. Polska młodzież z Ukrainy też pomaga, ale jednak swoją przyszłość wiążą z Polską i tu wybierają się na studia i często zostają.

Szczęśliwie, w grudniu 2018 powstał instytut Polonika, który definiuje się w następujący sposób: „Narodowy instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą Polonika tworzy zespół specjalistów z różnych dziedzin nauki (historia, historia sztuki, architektura, archiwistyka, konserwacja i restauracja dzieł sztuki). Łączy nas przekonanie o wybitnym znaczeniu dla rozwoju i tożsamości Rzeczypospolitej pozostającego poza krajem dziedzictwa kulturowego, a także jego istotnego wkładu w spuściznę kulturową Europy i świata. Pragniemy, aby ta świadomość łączyła Polaków w kraju i za granicą. Poprzez badania, ochronę i popularyzację polskiego dziedzictwa kulturowego za granicą chcemy zachować materialne świadectwa naszych dziejów i przywracać pamięć o ważnych dla współczesnych Polaków ludziach oraz istotnych faktach historycznych.” Tenże instytut „od 2019 roku prowadzi program własny pod nazwą „Polskie dziedzictwo kulturowe za granicą – wolontariat”. Program wspiera zaangażowanie społeczne w ochronę materialnych elementów polskiego dziedzictwa kulturowego pozostającego poza granicami kraju. Chodzi nie tylko o obszar historycznej Rzeczypospolitej w jej granicach z 1772 r., lecz także prowadzenie działań związanych z ochroną i rewitalizacją spuścizny kulturowej powstałej na emigracji.”



Cmentarz w Jeziorze

Zatem, zajmuje się nie tylko kresami, ale też Litwą, Łotwą, Francją, Szwajcarią, Stanami Zjednoczonymi i każdym innym miejscem na ziemi, gdzie znajdują się pamiątki po Polsce i Polakach. Dzięki grantom instytutu Polonika, można realizować fantastyczne projekty w różnych częściach świata i poznawać cudownych ludzi. To najciekawsza forma przekazu lekcji historii, które zainteresują nawet tych, dla których Ten przedmiot nie jest centrum zainteresowań. Dlatego od 2019 roku rozpoczęliśmy jako Stowarzyszenie, współpracę z instytutem. I jest to naprawdę wielkie WOW!

Właśnie w tej chwili trwają nabory i wszyscy zakręceni piszą w pocie czoła, mózgi dymią a palce boją od klawiatury. Ale późniejsza radość jest nagrodą za wszystkie nieprzespane noce, żeby nasz projekt by najlepszy, żebyśmy wzbudzili zaufanie, żeby podarowano nam tę wspaniałą robotę.

Ale przejdę do konkretów. W 2019 roku. Dostaliśmy 2 granty na wolontariat na cmentarzach w Krzywym Jeziorze i Krakowcu, na Ukrainie.

Krzywe Jezioro, to miasto nad rzeką Kodymą, 200 km od Odessy, które znajdowało się niegdyś na granicy Rzeczypospolitej i Turcji. Kościół w okresie komunizmu został tak zdemolowany i przebudowany, że przejechaliśmy obok i nie rozpoznaliśmy go. Cmentarz o powierzchni 0,5 ha, był totalnie zarośnięty dzikim bzem, że nie było widać żadnych nagrobków, ale to jednak był cmen-

tarz. Kiedy z piłami, podkaszkami tarzowymi ruszyliśmy w tę dżunglę, co jakiś czas z różnych stron słychać było entuzjastyczne okrzyki: „Mam coś!” i tak kawałek po kawałku, sztuka po sztuce odkrywaliśmy poszczególne elementy nekropolii. Udało nam się znaleźć kilka bardzo interesujących, dzięki czemu dowiedzieliśmy czegoś więcej o miejscu w którym byliśmy. Przejeżdżając kilka razy przez Ukrainę nigdzie nie widziałam tak zarośniętego cmentarza. No, ale parafia do której należały 3 powiaty, miała zaledwie...30 parafian. Ale oni też chętnie nam pomogli. Cudowny ukraiński dyrektor Biura Pracy, też podesłał nam bezrobotnych do pracy. Ale i tak nie dało się zrobić wszystkiego. Dlatego w tym roku chcemy ponownie tam jechać i dokończyć naszą pracę. i oczywiście ponownie odwiedzić Odesse, z jej piękną architekturą, operą i słynnymi schodami, znanymi na całym chyba świecie dzięki filmowi Siergieja Eisensteina „Pancernik Potiomkin” i cytowane w innych produkcjach, też amerykańskich.

Druga miejscowość do której się wybieramy, to mający swój początek w XIV w – Jaworów, miasto położone 60 km od Lwowa. To w tutejszym zamku (nieistniejącym), Jan III Sobieski przyjmował gratulacje po Victorii Wiedeńskiej i przygotowywał się do odbicia Kamieńca Podolskiego. Tamejszy cmentarz, jest w zdecydowanie lepszym stanie, lepiej utrzymany, bo ma swoją cudowną opiekunkę, Panią Zosię, która spędza tu każdą wolną

chwilę. i to właśnie ona prosi o pomoc dla XVIII w. nekropolii.

Oczywiście będąc tak blisko, nie sposób nie odwiedzić też cudownego Lwowa! Może to być zwykły spacer po mieście, zwiedzanie, z pięknymi zabytkami polskimi po drodze: Kościół dominikanów, bajeczną kaplicą Boimów, cudownie odrestaurowaną przez instytut Polonika Katedrą Ormiańską i wielu innych jeszcze, nie zapominając o cmentarzu Łyczakowskim.

Oczywiście, nasze plany i terminy zależą od sytuacji pandemicznej w Polsce i na Ukrainie. Planujemy je od lipca może do końca sierpnia, września, to też zależy od wolontariuszy: czy i kiedy mogą jechać. A zapraszamy wszystkich, którzy chcą przeżyć cudowną przygodę, odwiedzić dawne tereny Rzeczypospolitej i pomóc naszym rodakom na wschodzie. To dla nich bardzo ważne. Dla nich to historia życia, ich rodziców, dziadków, sąsiadów. Jeśli dostaniemy dofinansowanie, opłacamy koszty transportu od Krakowa, do miejsca docelowego, noclegi, wyżywienie. Czyli wycieczka z...dopłatą. Tam jest zupełnie inaczej, niż to do czego przywykliśmy, i może dlatego jest tak wspaniale. Podobno, jak ktoś odwiedzi Ukrainę, to się w niej zakocha. Mając też trochę wolnego czasu, bo w weekendy nie pracujemy, można na własny koszt, odwiedzić też inne miejsca. Więc, gdyby ktoś był zainteresowany takim wypadem na Kresy, to zapraszam! Za 2 miesiące wszystko już będzie jasne.

MARZENA DRZEWIŃSKA
TRP.PIWNICZNA@GMAIL.COM

Śladami Ołędów w Wielkopolsce. Cmentarze.

Podobny temat, to opuszczone cmentarze dawnych osadników ołędzkich, które zostały opisane i sfilmowane przez Scenę Młodych przy Pools Podium w latach 2006-2009 w Wielkopolsce, podczas warsztatów filmowych w Nowej Róży. Wrócimy do tego tematu.

Trzymamy kciuki za powodzenie akcji wolontariuszy na Kresach.

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ



Fot. Janusz Romaniszyn

Bracia Polscy



**JOLANTA
VAN GRIEKEN-BARYLANKA**

Od Rakowa przez Amsterdam do Waszyngtonu

Ruch religijny i społeczny, zwany Reformacją, który istniał w Polsce od lat 20. XVI w. do połowy XVII w., kiedy ostatecznie zwyciężyła w naszym kraju kontrreformacja, cechował dynamiczny rozwój, a następnie równie szybki upadek, aż do całkowitej marginalizacji i utraty znaczenia w początkach XVIII w. Dzisiaj mało kto wie, że ruch ten nie był jednolity, a najbardziej radykalnym odłamem reformacji w Polsce byli Bracia Polscy, nazywani także Arianami i Socynianami. Wygnani z kraju wywarli wielki wpływ na opinię europejską a ich Katechizm Rakowski jest wymieniony przez UNESCO, jako jedno z najważniejszych dzieł w historii ludzkości. Ich wpływ na Europę Zachodnią i na Stany Zjednoczone byłby zapewne dużo mniejszy, gdyby nie to, że duża grupa Arian osiedliła się w Amsterdamie.

Kim byli Bracia Polscy?

Za podstawę swej doktryny Bracia Polscy uznawali wyłącznie Biblię. Nie uznawali dogmatu o Trójcy Świętej, dlatego nazywano ich także antytrynitarzami. Odrzucili chrzest dzieci, jak i obrzędy i przedmioty kultu. Silna była też pozycja kobiet we

wspólnocie, które mogły wygłaszać kazania, a w małżeństwie były partnerkami.

Największy rozkwit ruchu Braci Polskich przypada na lata 1600-1660. W Rakowie założyli Akademię Rakowską, dokąd zjeżdżało dużo zagranicznej młodzieży. Urządzono tu znakomitą drukarnię, z której druki propagandowe i naukowe rozchodziły się na całą Europę. Dla katolików Akademia była solą w oku i nic dziwnego, że zgodnie, tak kler katolicki, jak i luterński i kalwiński, nazwali Raków centrum hereetyckiej myśli.

Ich Katechizm Rakowski był tłumaczony na wiele języków i był przez jednych przyjmowany z entuzjazmem, przez innych był zwalczany i niszczone. Pisanie Katechizmu Rakowskiego rozpoczął Faust Socyn, ale wydano go już po jego śmierci w 1604 roku. To właśnie Socyn był największym przedstawicielem tego nurtu. Był umysłem wybitnym, niezwykle dobrze wykształconym, znakomitym bibliścią. Pochodził z rodziny, która była połączona z królami, księżętami, biskupami, kardynałami, a nawet papieżami, a mimo to nie wahał się iść swoją własną, trudną drogą.

W podobnym duchu przedstawiają sylwetkę Socyna Holendrzy w wielu opracowaniach naukowych, w tym w artykule A. de Groota „Fausto Sozzini (1539-1604)” (Socinianisme in de Nederlanden, 2004).

Reformacja dała szerokim masom Biblię, teraz mogli się sami przekonać, czy dogmaty i cuda uznawane przez Kościół, mają swoje uzasadnienie w Biblii. Potężny prąd umysłowy, zwany humanizmem, uczył ludzi krytycznego i niezależnego myślenia. Wniosła duży wkład w rozwój języka polskiego, kultury i literatury, przyczyniła się do ożywienia nauki i oświaty. Jej działaczami było wielu wybitnych naukowców, teologów czy pisarzy. Protestantami (Arianami) byli choćby Mikołaj Rej czy Wacław Potocki.

Także Arianie odegrali znakomitą rolę w rozwoju języka polskiego, szkolnictwa, kultury i nauki. Dzięki nim znaczne postępy uczyniły studia biblijne (filologia Biblii, krytyka tekstu biblijnego).

Kiedy Gutenberg wynalazł druk, Biblię zaczęto tłumaczyć na języki narodowe. Kościół katolicki poczuł się zagrożony. W roku 1545 zwołano sobór trydencki na którym papież Paweł III mówił o „wielkim zagrożeniu płynącym z rozprzestrzeniania się plagi Biblii drukowanych w językach narodowych”. Na tym samym soborze Kongregacja Świętego Oficjum i Kongregacja Indeksu Ksiąg i Myśli uchwałył zakaz drukowania Pisma Świętego w językach narodowych, a samą Biblię wpisano do indeksu ksiąg zakazanych! Sobór był odpowiedzią na narastającą potrzebę reform w Kościele katolickim. Jest uznawany za początek kontrreformacji. W jej wyniku Arian wygnano z Polski w 1658 roku, ich dobra przejęte, polskie tłumaczenia Biblii popalone, często z ich właścicielami. Raków zrównany z ziemią.

Karol Grycz-Smiłowski, polski pastor luterński, następnie wyznawca unitarianizmu nie ma wątpliwości: „Po wypędzeniu Braci klerykalizm nie miał już w Polsce żadnego poważnego przeciwnika. Zagarnął w swoją władzę wszystko. W czasie rozbiorów jedna trzecia samej ziemi była w rękach kleru, w jego rękach było całe wychowanie narodu, a jak wychował, pokazywała rzeczywistość: zamiast głębszej religijności – płytki ceremonializm, zabobon i fanatyzm, pijaństwo, nieposzanowanie cudzej własności, ucisk mieszczaństwa i chłopów, ciemnota, ogólne rozprężenie społeczne. Gdzie indziej Europa robiła na każdym polu wielkie postępy – Polska staczała się coraz niżej, aż przyszedł rozbiór. Jest to tym charakterystyczniejsze, że w XVI w., kiedy w Polsce Reformacja tak szybko robiła postępy, a Bracia Polscy rozwijali żywą działalność, Polska stała u szczytu swej potęgi i przeżywała okres złotego wieku literatury. Zgniecenie tych ruchów okazało się zgubą dla Polski”.

W podobnym duchu wypowiada się dr Jerzy Bąbel, archeolog i prahistoryk, który nie ma wątpliwości, że zduszenie tych ruchów protestanckich okazało się zgubą dla Polski. W tekście „Pamięci tych, którzy odważyli się myśleć” napisał: „Wiek XVIII to w Rzeczypospolitej Obojga Narodów czas tryumfalizmu Kościoła katolickiego, budowy świątyń i wspaniałych ołtarzy, „cudów” i objawień, pielgrzymek i sanktuariów, skrajnej dewocji, a zarazem czas upadku gospodarczego i militarnego państwa, nędzy chłopów, powszechnego

zowi potomstwem. — Pod względem na swych przodków nasz **Faust Socyn** był połączony z Królami, księżętami, Papieżami i Kardynałami. Jego Ojciec **Aleksander**, brat **Leliusa**, ożenił się z **Agnieszką** córką **Borghese'go Petrucci** Księcia Sienny, którego rodziła **Wiktorya Piccolomini**, wnuczka **Eneasza Sylviusa**, obranego Biskupem Warmijskim i spótcześnie Papieżem pod nazwą **Piusa II**. Siostra tego Papieża była matką **Antoniego i Franciszka Piccolomini**, z których ostatni był Papieżem pod nazwą **Piusa III**, tamten zaś ożenił się z córką **Ferdynanda Króla Aragonii i Neapolu** i za nią wziął

Fragment pochodzi z książki A. Krzyżanowskiego, „Dawna Polska”, Warszawa 1844

- W niewielkim Rakowie, na dobrach przekazanych im przez właściciela ziemskiego zbudowali akademię, która w ciągu 36 lat istnienia wykształciła ponad 1000 osób i była na ustach intelektualistów ówczesnej Europy, znana jako Ateny Sarmackie. Postulowali oni poprzez swoje oficyny wydawnicze racjonalizm i tolerancję. Literatura podaje iż ariański Katechizm Rakowski w kwestiach neutralności światopoglądowej państwa oraz rozdziału państwa od Kościoła był inspiracją twórców Konstytucji USA, m.in. Tomasza Jeffersona.

Inspiracja dla Tomasza Jeffersona

pijaństwa, ostatnich w Europie polowań na czarownice, prześladowań innowierców, głupoty politycznej, egoizmu magnaterii i wreszcie zdrady narodowej ówczesnych kosmopolitycznych elit. Wielkie, potężne niegdyś i kwitnące mocarstwo wschodnioeuropejskie zostało rozdarte przez trzech zaborców. W tym samym czasie za Oceanem Atlantyckim ariańskie idee rozdziału państwa od religii zapisano w Konstytucji Stanów Zjednoczonych. I to one m.in. stworzyły z tego państwa dzisiejsze supermocarstwo światowe”. <http://bracia.racjonalista.pl/historia/dawniej/babl.html>

Bardziej znani poza Polską

Dzisiaj niewiele osób zdaje sobie sprawę z tego, że historia Braci Polskich nie kończy się na tym smutnym wydarzeniu, jakim było ich wygnanie z kraju. Część z nich przedostała się do Siedmiogrodu, druga część osiadła w Holandii. Wśród nich był wnuk Socyna Andrzej Wiszowaty, który zamieszkał w Amsterdamie, gdzie nadal prowadzili swoją działalność religijną i społeczną.

Mimo zaklinania rzeczywistości przez wielu historyków, zwłaszcza polskich, związanych z Kościołem Katolickim, Bracia Polscy wywarli wielki wpływ na opinię europejską i stali się prekursorami Oświecenia. Pod ich wpływem był przez jakiś czas sławny niderlandzki filozof Baruch Spinoza, który z innym filozofem, Kartezjuszem, podkreślali prawa rozumu w życiu duchowym człowieka.

W Wielkiej Brytanii pod wpływem Braci Polskich był Isaak Newton, który „doskonale zdawał sobie sprawę z rozwoju sytuacji w Polsce i zebrał wiele książek z Akademii Rakowskiej”. Anglik John Biddle przetłumaczył dzieła Przytkowskiego i Katechizm Rakowski. Zwolennicy Biddle’a byli bardzo blisko związani z polską socyńską rodziną Crelliusa (Spinowskiego).

Katechizm Rakowski jest wymieniony przez UNESCO jako jedno z najważniejszych dzieł w historii ludzkości. – Słynna Pierwsza Poprawka, gwarantująca wolność religii, słowa i zgromadzeń, była inspirowana Katechizmem Rakowskim, przyjętym w 1603 roku przez polskich arian – mówił w Polskim Radiu politolog, profesor Wawrzyniec Konarski w audycji Jerzego

Sosnowskiego z cyklu „Klub Trójki”. – To, że Thomas Jefferson znał Katechizm Rakowski zostało potwierdzone. Zresztą UNESCO uważa ten dokument za jeden z najważniejszych elementów bazowych dla idei równych praw i idei tolerancji religijnej. 231 lat temu weszła w życie Konstytucja USA. Dokument kryje w sobie polskie tropy – Historia – polskieradio.pl

Tropy te są udokumentowane: Joseph Priestley – angielski chemik, filozof, duchowny i pedagog, który wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, założył tam pierwszy kościół unitariański, który przejął dziedzictwo Braci Polskich. Priestley był przyjacielem dwóch prezydentów, zarówno Jamesa Madisona, jak i Thomasa Jeffersona, z których ten ostatni czasami uczestniczył w nabożeństwach w zborze Priestley w Filadelfii. W szczególności Priestley doskonale zdawał sobie sprawę z wcześniejszych wydarzeń w Polsce, poprzez

wzmianki o Socynie i Szymonie Budnym (tłumaczu Biblii).

Sam Priestley, z powodu swojego światopoglądu, był także niemile widziany w Stanach Zjednoczonych, o czym dobrze wiedział Jefferson. Kiedy więc w 1801 roku Jefferson został prezydentem USA, napisał do angielskiego pastora: “Z wielką przyjemnością przychodzi mi w pierwszych chwilach mojej publicznej działalności serdecznie powitać Cię w naszym kraju, w którym wspólnie hołdujemy estymie, oraz otoczyć Cię opieką praw stworzonych, by chronić ludzi mądrych i dobrych jak Ty sam, równocześnie pragnę wyrazić pogardę dla legitymizacji tego paszkwilu ustawodawczego, który w formie prawa przez jakiś czas wśród nich się znajdował” – Kevin J. Hayes. The Road to Monticello: The Life and Mind of Thomas Jefferson. Mowa o uregulowaniach prawnych, które utrudniały życie ludziom takim jak Priestley.

Historia postępowych chrześcijan, którzy zamienili rzymski krzyż na ewangelię, jest w Polsce mało znana. Byli prekursorami Oświecenia, mieli wpływ na Konstytucję USA, a w Polsce historia o nich milczy. Dzięki niderlandzkim, angielskim i amerykańskim opracowaniom naukowym wzbogaciłam informacje o Braciach Polskich. Myślę, że te odnalezione tropy o wpływie Braci Polskich na Europę Zachodnią, ich idei równych praw i idei tolerancji religijnej, zainteresują także Czytelników. ■

Danuta Ławniczak

magia luster

*zakrętów nie będzie
labiryntów rozstajów
rozdroży nikt nam nie dotoży
drogi na świat
jak na bal mają proste być
jak lustra błyszczące i gładkie
pójdiesz tam
niby przypadkiem
i zapragniesz nagle
na drogi zwierciadła ślad ust
zostawić
odcisnąć dłonie obie
sprytnie
magią luster się pobawić
i zrobić sobie
na wejście
autoportret ze szczęściem*



Dwa Edisony i japońska przygoda w kolorze blue



GRAŻYNA GRAMZA

W tym roku osiemdziesiąt osiem lat skończyłaby Ann Burton, jedna z najważniejszych holenderskich piosenkarek jazzowych, obok Rity Reys i Pii Beck. Jej prawdziwe imię i nazwisko brzmiało Johanna Rafałowicz.

Johanna urodziła się 4 marca 1933 r. w Amsterdamie i tam też zmarła 29 listopada 1989 r.

Ann śpiewała głównie ballady, których teksty były swoistymi dziełami sztuki. Śpiewała o smutku i tęsknocie. Jej piosenki mają bardzo intymne brzmienie i są niezwykle melancholijne. W jednym z wywiadów powiedziała: „Jeśli nie wierzę w coś, to nie potrafię tego zaśpiewać.”

Matka Ann, Sura Rafałowicz, przyjechała do Holandii z Polski około 1930 r., a trzy lata później urodziła córkę. Dziecko było pozamałżeńskie, ale kiedy matka Ann wyszła za mąż, to dziewczynka otrzymała nazwisko ojczyma – De Paauw. Tym nazwiskiem piosenkarka posługiwała się do 1971 r. kiedy to ponownie wróciła do swojego panińskiego nazwiska – Rafałowicz.

Rodzice Ann w czasie drugiej wojny światowej zostali wywiezieni do obozu koncentracyjnego, ale oboje go przeżyli. Dziewczynkę ukrywano w Amsterdamie. Niestety przeżycia wojenne spowodowały, że rodzina się rozpadła. Od dziecka Ansje, jak nazywała ją matka, interesowała się teatrem i muzyką, ale wtedy jeszcze nie brała lekcji śpiewu. Za to po wojnie uczyła się u znanej pedagog Bep Ogterop i po raz pierwszy wystąpiła w

1954 r. w klubie nocnym „Palermo”. Była wtedy entuzjastką amerykańskiej muzyki i piosenek Doris Day, Jo Stafford, Rosemary Clooney, Elli Fitzgerald i Sarah Vaughan. Później źródłem inspiracji była dla niej też twórczość Billie Holiday. W 1955 r. Johanna przyjęła pseudonim

artystyczny Ann Burton na cześć swojego ulubionego aktora Richarda Burtona. Początkowo koncertowała z zespołem Johnnego Millstona i występowała z orkiestrą Teda Powdera dla amerykańskich żołnierzy w klubach w Niemczech. Ta podróż nie zawsze była przyjemna ale Burton spotkała wówczas jazzmanów i postanowiła skupić się na tej muzyce. Wtedy też zakochała się po raz pierwszy i chociaż wybrańek, gitarzysta jazzowy, szybko wyjechał do Ameryki, to pozostał jej największym oczarowaniem. To był Eddie de Haas, który znany jest jako Eddy O’Hare.

W tym czasie Ann postanowiła też zrezygnować z posady fryzjerki. Występowała wówczas z saksofonistą Pieterem Noordijkem w Hiszpanii i Maroku. Po powrocie do Holandii śpiewała w Sche-



veningen. Pierwszą piosenkę Ann nagrała w 1958 r. ale dopiero w 1965 r. ukazał się album z trio Fransa Elsen. Później dołączyła do grupy Ramzesa „Shaffy Shaffy Chantant”. W połowie lat sześćdziesiątych Ann Burton została wreszcie zauważona i w 1967 r. ukazał się jej własny album „Blue Burton”. Dwa lata później za tę płytę otrzymała nagrodę Edisona, czyli najbardziej prestiżową nagrodę muzyczną w Holandii. W latach 1969 – 1972 ukazało się kilka innych płyt Ann Burton. W 1973 r. koncertowała w Japonii, gdzie stała się najpopularniejszą wokalistką jazzową po Elli Fitzgerald. Pod koniec lat siedemdziesiątych Ann Burton wyjechała do Nowego Jorku, gdzie również nagrywała. Za płytę „New York State of Mind” otrzymała po raz drugi Edisona.

Po powrocie do kraju występowała w różnych programach muzycznych, śpiewała na festiwalach, a kiedy nie miała

innego zajęcia pracowała jako fotomodelka u kuzyna Amnona Rafałowicza, który w latach pięćdziesiątych założył RAF Records w Amsterdamie. W latach osiemdziesiątych Ann Burton założyła własną wytwórnię muzyczną i wykładała w konserwatorium w Amsterdamie. Niestety w wieku pięćdziesięciu sześciu lat zmarła na raka krtani.

Jej ostatnim albumem był „Everything Happens”, który ukazał się w 1988 roku. Krótco przed śmiercią zaśpiewała jeszcze w belgijsko-holenderskiej komedii „Een Scherzo Furioso” w reżyserii Marianne Dikker.

Ze wspomnień współpracowników wyłania się postać osoby bardzo pracowitej, perfekcyjnej i trochę neurotycznej. Według jej własnych słów, nie była łatwym dzieckiem. Trudno się dziwić po tym co przeszła w czasie wojny, kiedy musiała się ukrywać. Nie znamy szczegółów, bo bardzo niechętnie o tym mówiła. Po wojnie wychowywała się w rodzinie zastępczej. Miała zostać fryzjerką i nawet krótko pracowała w tym zawodzie. Na szczęście spotkała odpowiednie osoby, które pomogły jej podjąć decyzję o karierze muzycznej. Krótco, bo tylko trzy lata, była mężatką. Jej mężem był Willem Hendrik Cornelis van Deutekom. Mieszkała wówczas z nim w Hadze. Rozwiedli się prawdopodobnie z powodu różnych oczekiwań i stylu życia.

Na temat życia i twórczości Ann w 1999 r. ukazała się książka Anneke Muller zatytułowana, tak jak jej pierwszy album, „Blue Burton. Herinneringen aan een Nederlandse jazz-zangeres”.

W Polsce nadal do kupienia jest zremasterowany krążek CD „Blue Burton”. W Japonii systematycznie ukazują się płyty z piosenkami Ann. Jej popularność jest tam niezagrożona. W Holandii, chociaż w zeszłym roku wydano płytę z dwudziestoma czterema utworami Ann Burton z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, to jej gwiazda nieco przybladła. Płyta nosi tytuł „Early Blue” i słychać z niej wyraźnie, że nadchodzi „dama holenderskiego jazzu”. Na pewno warto o niej pamiętać i posłuchać.

[HTTPS://WWW.JAZZARCHIEF.NL/PRODUCT/EARLY-BLUE/](https://www.jazzarchief.nl/product/early-blue/)

GRAŻYNA GRAMZA
EINDHOVEN 9.02.2021

Krzesimir Dębski i opera na 50-lecie pracy artystycznej!

Krzesimir Dębski, wybitny artysta, twórca muzyki filmowej m.in. do filmu „Ogniem i mieczem”, lider zespołu „String Connection”, autor książki o Wołyniu, dyrygent i kompozytor, ogłosił, że pracuje nad operą. W mediach społecznikowskich zawrzało: „genialny pomysł, czekamy, to będzie dzieło!”

Przypomniała mi się pewna scena, gdy prze lata odwiedziłam Krzesimira w jego domu pod Warszawą. Gdy weszłam do holu w którym, namalowane na ścianach ogromne zielone kłacza oplatały jakby schody prowadzące na górę, oniemiałam z wrażenia. Kto to malował? „Jak to kto,



Ogrodowa orkiestra Krzesimira Dębskiego

ja...” Potem oprowadził mnie po ogrodzie, który również sam aranżował. Zaprowadził mnie do miejsca, gdzie posadził swoją orkiestrę: „Tutaj ćwiczę.”

Spojrzałam na krzewy, niskie i wysokie, chude i rozłożyste, różniące się barwą zieleni i kształtami liści. I zobaczyłam to co on widział: „Tutaj siedzi pierwszy skrzypek, tam wiolonczela, dalej harfa, bębny...i uniósł ręce zaczynając dyrygować. To jest moja orkiestra. Tutaj pracuję.”

Ten koncert zapamiętam do końca życia!

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

Moje rysunki



ALICJA GRYGIERCZYK

Nie powstałyby nigdy, gdyby nie depresja, która towarzyszyła mi przez całe lata i przybierała



czasami takie rozmiary, że życie traciło dla mnie całkowicie sens. Ale ponieważ w życiu nic nie dzieje się przypadkiem, dzięki niej odkryłam, że jednak jest we mnie, gdzieś głęboko, ukryta w podświadomości, przykryta wspomnieniami bolesnych emocji siła.

Potrzebne mi były całe lata aby je, warstwa po warstwie uwolnić i dotrzeć

tam gdzie w każdym z nas znajdują się indywidualne pokłady zdolności i umiejętności, potrzebne do spełniania siebie.

Moje rysunki ilustrują moje wynurzenie się z szarości. Są dla mnie terapeutyczne. Siadam przy stole, biorę głęboki oddech i idę... w kierunku życia.

Kazimierz Górski – Lwowianin z urodzenia



ANNA GORDIJEWSKA

100 lat temu, 2 marca we Lwowie urodził się Kazimierz Górski – jeden z najwybitniejszych polskich trenerów piłki nożnej. O sobie mówił: „Jedni rodzą się do skrzypiec, inni do munduru. Ja urodziłem się dla piłki”. Piłkarską reprezentację Polski doprowadził do medali olimpijskich i mistrzostw świata. A przy tym pozostawał skromnym i otwartym człowiekiem.

Kazimierz Górski przyszedł na świat 2 marca 1921 roku we Lwowie. Był najstarszym w wielodzietnej rodzinie, miał brata i cztery siostry. Ojciec Maksymilian pracował na kolei, matka jako krawcowa w Teatrze Miejskim. Dom, w którym mieszkała rodzina przy ul. Gródeckiej w okolicy zajezdni tramwajowej, niestety się nie zachował. Przyszły trener uczęszczał do szkoły powszechnej im. H.

Sienkiewicza przy dawnej ulicy Lwowskich dzieci, obecna nazwa Herojów UPA, a później do IX Gimnazjum im. Jana Kochanowskiego przy ul. Chocimskiej. Ojciec zaszczepił w nim miłość do piłki. Był bystry i zwinny, dlatego w szkole nazywano go Sarenką. Z ojcem chodził też na mecze lwowskiej Pogoni. Wciąż marzył o klubie – dumie Lwowa, ale nigdy w Pogoni nie zagrał.

Rozpoczął grać w piłkę na pozycji napastnika na dawnym boisku Robotniczego Klubu Sportowego – RKS Lwów, obecnie opuszczonego stadionu „Silmasz”. Potem grał w klubach Spartak Lwów i Dynamo Lwów. Przed wojną ukończył technikum mechaniczne. Karierę piłkarską przerwała mu wojna. Podczas okupacji niemieckiej pracował w warsztatach kolejowych. W 1944 roku zaciągnął się do Wojska Polskiego i dotarł do Warszawy. Po wojnie był piłkarzem Legii Warszawa. Rozegrał łącznie 81 meczów ligowych, strzelając w nich 34 bramki. W latach 50. zakończył karierę pracą trenera przyniosła mu sławę i uznanie.

Zasłynął jako trener reprezentacji Polski, wraz z którą osiągnął historyczny sukces: zdobył złoty medal na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium w 1972 roku, dwa lata później – srebrny medal na Mistrzostwach Świata w RFN i srebrny medal na Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu w 1976

roku. Prowadził reprezentację w 73 meczach, osiągając 45 zwycięstw. Nigdy wcześniej i nigdy później kadra narodowa nie osiągnęła tyle, co pod okiem Górskiego.

Kazimierz Górski zawsze z dumą w sercu opowiadał o Lwowie. Kilkakrotnie odwiedzał rodzinne miasto. Rok przed śmiercią spełnił swoje ostatnie marzenie – przyjechał na otwarcie Cmentarza Orląt. W obronie Lwowa brał udział jego ojciec.

Kazimierz Górski zmarł 23 maja 2006 roku. Został pochowany w alei Zasłużonych Cmentarza Wojskowego na Powązkach. Jego nagrobek zdobi piłka, a zarazem kula ziemiska z brązu, na której są wyryte znaczące nazwy miast w życiu wybitnego trenera, wśród których widnieje napis – Lwów.

A Lwów również pamięta o swoim wielkim rodaku. Kazimierz Górski jest honorowym obywatelem Lwowa. Na ścianie gimnazjum, do którego uczęszczał, znajduje się tablica pamiątkowa, gdzie są wyryte słowa, które powiedział przy swoim kolejnym pobycie we Lwowie o tym, że mijają lata i wiele rzeczy w świecie zmieniło się, ale: „Nic nie może przekreślić miłości do twego rodzinnego miasta, w którym przyszedłeś na świat”.

Z okazji 100-lecia urodzin Kazimierza Górskiego PKP Intercity uruchomiło połączenie kolejowe między Rzeszowem a Szczecinem pod nazwą „TLK Górski”.



Przeszłość od kuchni,

czyli co sałatka coleslaw ma wspólnego z Mentosami?



GRAŻYNA GRAMZA

Przedłużający się lockdown, atak zimy i brak innych zajęć skłania nas do gotowania i wymyślania potraw. W codziennym pędzie często kupujemy półprodukty czy całe dania i nie zastanawiamy się ani nad ich składem, ani kalorycznością. Jest smaczne, to jemy i biegniemy dalej. Nie jest? Trudno! Teraz czasu mamy jakby więcej, a poza domem, oprócz spacerów, żadnej rozrywki, więc kuchnia stała się miejscem atrakcyjnym. Przynajmniej tak to wygląda kiedy śledzi się aktywność znajomych i nieznajomych w mediach społecznościowych chwalać się wypiekami i przekąskami. Teraz już nie, ale na początku pandemii wszędzie brakowało mąki, bo „Heel Holland Bakt” („Cała Holandia piecze”). Ja też uległam temu szaleństwu. Przyznaję się! Jednak ze względu na mniejszą aktywność zaczęłam przybierać na wadze, więc przeczuciłam się na „zdrowe jedzenie”. Robię więc sałatki! Czy pomyśleliście kiedyś, że popularna na świecie sałatka coleslaw pochodzi z Niderlandów?

W Europie, a na pewno w Polsce, spularyzowała ją sieć restauracji KFC ale korzenie ma niderlandzkie. Holenderscy emigranci, którzy założyli Nowy Jork i handlowali tam bobrowymi skórkami, jedli kapustę wymieszaną z masłem lub olejem i octem. Uprawiali ją nad rzeką Hudson, o czym pisał szwedzki przyrodnik Pehr Kalm w 1770 roku. Dzisiejsza sałatka przygotowywana jest z majonezem ale w tamtym czasie jeszcze go nie znano, chociaż według legendy pierwszy sos na bazie jaj i oliwy sporządził książę de Richelieu, krewny sławnego kardynała (tego z powieści Dumasa „Trzej Muszkieterowie”). W masowej produkcji majonez pojawił się dopiero na początku XX wieku. Też zresztą w Nowym Jorku. Wracając jednak do sałatki coleslaw, to jej nazwa pochodzi od koolsla (sałatka z kapusty), ale w jednym z pierwszych zapisów została przeinaczona. Ktoś zrobił z niej zimną sałatkę, czyli cold

slaw i tak już zostało. Dziś dodajemy do niej też inne składniki, tj. marchew, cebulę, jabłka... Różni się od pierwowzoru ale nadal jest to drobno poszatkowana kapusta, którą zjadał holenderski traper dwieście lat temu. A czym popijał? Whisky? Brandy? Ta ostatnia też ma coś wspólnego z Niderlandami. Nazwa pochodzi od holenderskiego słowa brandewijn, którym w średniowieczu określano palone wino. Historia brandy łączy się z poznaniem sztuki destylacji, która polega na przekształcaniu wina owocowego lub wyłoków powstałych przy wyciskaniu owoców w bardziej skoncentrowany, czystszy alkohol. Trunki wysokoprocentowe znane były już w starożytnym Rzymie i Grecji, a ich historia może sięgać nawet Babilonii. Do Europy taki alkohol w średniowieczu sprowadzili Maurowie okupujący Hiszpanię. Sama brandy nie jest więc wynalazkiem

dziewięćdziesiątych były „lekiem na całe zło”. Mentosy pochodzą z Holandii ale w ich produkcji możemy doszukać się polskiego akcentu. W miejscowości Breskens w Zelandii od 1840 roku działała piekarnia, w której sprzedawano cukrowe kulki. W 1900 roku Izaak Van Melle zaczął je produkować maszynowo, a jego synowie Michael i Pierre podróżowali po Europie w poszukiwaniu nowych smaków. Tym sposobem trafili do Krakowa, gdzie zakupili przepis na masę owocową i miętową. Ta pierwsza stała się podstawą owocowych cukierków do żucia Fruittella, a ta druga Mentosów – flagowego produktu firmy w latach sześćdziesiątych. W czasie II wojny światowej Breskens bardzo ucierpiało, więc fabrykę w 1946 roku przeniesiono do Rotterdamu. W latach osiemdziesiątych „Van Melle” przeniósł się ponownie, tym razem do Bredy, gdzie do



Holendrów ale advocaat już tak. Trunek został po raz pierwszy przyrządzony przez Holendra Eugena Verpoortena. Produkowany jest właśnie z brandy, cukru, żółtek, śmietany oraz aromatu waniliowego. Najbardziej znanymi obecnie producentami advocaatu są „Bols”, „De Kuyper” i „Verpoorten”. Ta ostatnia firma jest w ręku rodziny Eugena Verpoortena od pięciu pokoleń. Założono ją w 1876 roku. Zmieniła siedzibę i obecnie mieści się w Bonn. Według jednej z wersji, jaką przytacza Wikipedia, advocaat był ulubionym napojem holenderskich prawników, którzy odświeżali nim zdarte od długiego przemawiania gardła i stąd wzięła się jego nazwa. Holendrzy mają też inne napoje wysokokowe, o czym warto by kiedyś przypomnieć ale teraz chciałabym jeszcze napisać o Mentosach. To miętowe pastylki, które według polskich reklam z lat

dziś zatrudnia 650 osób. Oprócz Mentosów produkowano gumę do żucia, toffi, lukrecję i mieszanki na kaszel. Od 2001 roku firma „Van Melle” to „Perfetti Van Melle”, światowy producent słodczy, którego główne biura mieszczą się we włoskim Lainate i holenderskiej Bredzie.

Odbiegłam chyba od tematu „zdrowej kuchni”, ale o ile o holenderskich konotacjach brandy wiedziałam już wcześniej, to Mentosy i Fruittella były dla mnie niespodzianką. Sięgając po nie na półki przy kasach nie miałam pojęcia, że są holenderskie. Zresztą pochodzenie sałatki coleslaw to też było dla mnie odkrycie. Dowiedziałam się o tym wszystkim z interesującego bloga Natalii Mętrak-Rudej zatytułowanego „Przeszłość od kuchni”, który polecam.

EINDHOVEN, 8.02.2021

„Ego-graphie lub życie polskiej emigrantki” Marguerite-Christine Świrczewskiej



ANNA FRANÇOIS-KOS

Czy jest wiek odpowiedni dla debiutu literackiego? Zwykle ma on miejsce w młodości; szybciej debiutują poeci, później powieściopisarze. Czy wiek pisarza ma znaczenie dla jego twórczości? W historii literatury znani są debiutanci mający około 100 lat. Faktem jest, że im później, tym człowiek dojrzałszy i bogatszy w nowe doświadczenia. To zdecydowanie ułatwia pisanie, ale z kolei młodszy pisarz ma ponoć w sobie większe pokłady emocji.

Prawdą też jest, że w późnym wieku częściej się pisze biografie, rzadziej powieści czy opowiadania. Margherite Świrczewska zaczęła publikować dość późno, w 2020 roku, w wieku 76 lat. Co prawda, już w 1966 roku publikowała artykuły w dwutygodniku „Wychowanie”, więc pisanie nie było dla niej nowością.

Przyznam szczerze, że ostatnio z przyjemnością przeczytałam jej bardzo ciekawą powieść autobiograficzną. Zaintrygowana losami bohaterki i autorki zaczęłam internetowe poszukiwania i okazało się, że nieco wcześniej ukazało się kilka jej opowiadań. Między innymi: „Liebe”, „Siostry”, „Duma biało-czerwonej peonii” czy „Prawdziwy przyjaciel”. Wszystkie trzy oparte na elementach biograficznych, z tym, że pierwsze sięga tematyką do czasów dzieciństwa autorki, drugie wczesnej młodości, a trzecie pisane jest z punktu widzenia dorosłej osoby, ale bohaterką jest młoda dziewczyna. Dwa pierwsze wskazują na głęboką wrażliwość autorki na otaczający ją świat, zarówno ten przyrody jak i ten, po prostu ludzkich losów. Wraca pamięcią do wydarzeń, które utkwiły na stałe w jej pamięci. Trzecie to relacja Cioci z rozmowy z kuzynką mieszkającą w USA na temat dumy z bycia Polką lub Amerykanką...! Jest zresztą swoistą parafrazą w stylu opowieści z „Małego Księcia”. „Prawdziwy przyjaciel” to piękne wspomnienie o kontaktach z Maciejem Morawskim, legendarnym polskim dziennikarzem emigracyjnym mieszkającym we Francji.

Dać tu trzeba, że niemalże w każdym utworze Świrczewska wykorzystuje każdą



okazję, aby przemycić w swoich opowiadaniach elementy historii Polski, życia wielkich Polaków, kontaktów polsko-francuskich na przestrzeni dziejów. Z tej ostatniej, króciutkiej prozy można się dowiedzieć kim jest Maciej Morawski, kim był jego Ojciec, Kajetan Morawski, ostatni ambasador wolnej Polski, czym jest Biblioteka Polska w Paryżu, jakie były losy emigracji polistopadowej czy czym jest polski dom w Lailly-en-Val.

Jest także autorką prozy wspomnieniowej zatytułowanej „Jak poznałam dziadka mojego kapitana Romualda Bużkiewicza”, która ukazała się w almanachu Biblioteki Literackiej „Bezkręsu” poświęconym „Niezlomnym obrońcom Ojczyzny, Żołnierzom Wyklętym poległym w walce z czerwoną zarazą”. Bardzo interesująca opowieść pisana z punktu widzenia małej dziewczynki o bohaterskim dziadku, którego historia jest kwintesencją losów powracających po II wojnie światowej, z Zachodu, polskich żołnierzy.

Zaskoczyły mnie jej publikacje, z pozoru banalne, prościutkie w formie, ale jakże mądre, zmuszające do refleksji, pouczające! Każdą z tych opowieści poleciłabym autorom podręczników szkolnych, bo właśnie z powodu tej prostoty informacje w nich zawarte dotarłyby do każdego, a przede wszystkim młodego czytelnika. Czuje się tutaj pedagogiczne wykształcenie autorki, zawodu, którego zresztą praktycznie nie miała okazji wykonywać z powodu chyba właśnie emigracyjnych losów.

Sama Świrczewska określa się jako „ecrivain de souvenir” czyli „pisarz pamięci”. I ciągle sobie zadaje pytanie: „Czy ja dam radę?”...

No i daje sobie świetnie radę. Jej powieść autobiograficzna „Ego-graphie” ou la vie d'une émigrée polonaise” napisana po francusku jest prawdziwym rarytasem na francuskim rynku

wydawniczym. Wkrótce powinna się ukazać jej wersja polska (także angielska), którą szczególnie polecam nie tylko polskim (emigracyjnym) czytelnikom, ale też każdemu, kto chciałby poznać losy powojennej polskiej emigracji. Są w niej cząstki historii niemal każdego z nas...

Przeanalizujmy tytuł książki, który oddaje to, co w niej znajdziemy. „Ego”, co oznacza przenośnie godność, dumę, honor. Według słowników część psychiki człowieka decydująca o przystąpieniu do działania lub mechanizmy wewnętrzne, świadomość i cechy psychiczne regulujące zachowanie człowieka, jaźń, indywidualność, osobowość. „Grafia” to oczywiście sposób zapisywania wyrazu, pisownia, ale też ostatni człon wyrazów złożonych wskazujący na ich związek znaczeniowy z pisaniem, zapisem, ilustracją, opisywaniem czegoś lub nadawaniem czemuś formy literackiej. No i dalsza część „życie polskiej emigrantki”. Trudno sobie wyobrazić inny tytuł dla tego, co w powieści tej znajdziemy. Podkreślmy, nie jest to biografia, ani autobiografia – to powieść autobiograficzna. Znajdziemy w niej oczywiście liczne elementy biograficzne, ale tak świetnie dobrane i połączone z fikcją literacką, że odczuwamy absolutną potrzebę dokładniejszego rozpoznania jednych i drugich elementów.

Nie chciałbym tutaj streszczać książki. Powiem więc tylko, że świetnie oddaje realia powojennej Polski i typowe losy emigrantki, „panienki z Saskiej Kępy”, którą życie w latach 60-tych rzuca najpierw do Francji, potem do USA i z powrotem do Francji.

Jak każdego emigranta opuszczającego powojenną komunistyczną Polskę spotkało ją wiele trudności, jak każdy musiała nauczyć się funkcjonowania w zupełnie innym świe-

cie, zaakcentować inny tryb życia. Spotkały ją i wzloty, i upadki.

Być może miała wiele szczęścia, bo trafiła jej się spotkać fantastycznych ludzi, zupełnie prostych, przeciętnych, którzy wiele jej pomogli. Na jej drodze życia pojawili się także bardziej sławni, tacy jak: Artur Miller, Jean-Paul Sartre, Simone de Beauvoir, Valery Giscard d'Estaing, Richard Nixon, James White, George Cukor, Kim Novak, Martin Gray, Barbara Piasecka-Johnson,... Z pewnością miała jednak ogromną siłę woli, odwagę, charyzmę i wiarę w siebie i własne możliwości.

W akcję wplata wybrane momenty z historii polsko-francuskiej i z pewnością uzmysławia francuskojęzycznemu czytelnikowi wiele istotnych faktów, które obalają popularne mity krążące na temat Polski bądź wydarzeń z Polską i polskością związanych. Postać Babuni to także prawdziwy obraz mądrości życiowej opartej na głębokim doświadczeniu życiowym, która próbuje przekazać zdobytą doświadczeniem wiedzę swojej „Małej Księżniczce”. Ukochana Babunia, pochodząca z drobnej szlachty przekazała jej ciekawość świata i życia. Także determinację, optymizm i umiłowanie życia. Zresztą jej powiedzenia cytowane są w języku polskim i tłumaczone w przypisach, dodając powieści wiele autentyzmu. Podobnie jak cytowane po polsku slogany komunistycznej nowomowy i trudne do przetłumaczenia aforyzmy i związki frazeologiczne. Chciałoby się dowiedzieć więcej nie tylko o Babuni, ale i o tajemniczym ojcu autorki, który emigrował „gdzies” nieco wcześniej.

Świrczyńska dodaje na końcu powieści aneksy dotyczące biografii jednego z głównych bohaterów i fikcyjnego państwa Santa Guarigione (Święte Odrodzenie), którego chciałoby się aż poszukiwać na mapach Europy. Symbolika nazewnictwa ma zresztą w książce istotne znaczenie.

Blurb autobiografii faktycznie określa treść książki, która „przedstawia to bogate życie, przywołując zabawne, a czasem dramatyczne anegdoty z czasów dzieciństwa i wczesnej młodości, które autorka spędziła w komunistycznej Polsce. Płodna wyobraźnia, fantastyczny entuzjizm polskiej emigrantki przepełnionej pasją sprawiają, że książka urzeka romantyzmem, a czytelnik śledzi z zapartym tchem uczuciowy związek autorki z jej wybawicielem – sławnym kardiochirurgiem, który zdołał przywrócić ją do życia”.

Podkreślić trzeba ogromny patriotyzm Marguerite-Christine Świrczewskiej, widoczny zarówno w wielu fragmentach powieści jak i w jej wspomnieniowych opowiadaniach. Miłość do kraju pochodzenia, jej wiedza na temat historii Polski i stosunków francusko-polskich jest zaskakująca.

„Ego-grafia...” wydana nakładem Editions Encre Rouge, do której wstęp napisał Hrabia Guillaume de Louvencourt, wnuk Andrzeja Poniatowskiego spotkała



się z dużym uznaniem czytelników. Słynny w latach 90-tych Jean-Paul Sulitzer wynalazca gatunku literackiego typu „finansowy western”, którego książki zostały przetłumaczone na ponad 40 języków i sprzedane w ponad 40 milionach egzemplarzy przyznał jej w 2020 roku nagrodę „Prix Paul-Loup Sulitzer”. Z entuzjazmem wypowiedział o powieści Maciej Morawski pisząc: „Potwierdzam, że przyznałem literatce Świrczewskiej mój prywatny „Order imienia Ambasadora Kajetana Morawskiego, bojownika o zacieśnienie współpracy polsko-francuskiej...”.

Kim jest ta tak późno debiutująca autorka? Wikipedia mówi o niej, że to „polska pisarka i działaczka społeczna, propagatorka kultury polskiej we Francji, filantropka, wiceprezes Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej we Francji, współzałożycielka i honorowy prezydent organizacji „Ma Patrie”.

Jest absolwentką liceum M. Curie-Skłodowskiej w Warszawie, ukończyła pedagogikę na UW. Była jedną z pierwszych stewardess w „LOT-cie”. Staż naukowy odbyła w Centrum Wychowania Trudnej Młodzieży w Vaucluse. Do Francji wyjechała w 1970 roku. Przez 4 lata mieszkała w USA, skąd na stałe wróciła do Francji, gdzie mieszkała i mieszka do dziś częściowo w Pirenejach, częściowo w okolicach Cannes.

Była trzykrotnie zamężna (Jean-Claude Bachelier, André Woydyło, Jerzy Lachowski), stąd zdarza się, że materiały o niej można znaleźć pod jednym z tych 3 nazwisk. Dlaczego w tak późnym wieku zdecydowała się na napisanie powieści autobiograficznej? Swoiste wytłumaczenie znajdziemy w łamach książki. Sama mówi: „Mój tata chodził do liceum z pisarzem Wojciechem Żukrowskim, który stał się przyjacielem rodziny. Bardzo mnie fascynował i od dziecka dawałam mu napisane przez siebie drobne teksty. Powtarzał mi, że mam talent i żebym go koniecznie

kształciła. To była pierwsza osoba, która zwróciła mi na to uwagę. Potem moje życie toczyło się różnie i zapomniałam o tym. Chęć pisania obudziła się we mnie później, gdy musiałam przejść operację serca, a profesor, który mnie operował, powiedział mi, że jest ciekawy mojego życia. A ponieważ ów profesor mnie zauroczył, usiadłam i zaczęłam pisać. Pierwszą wersję zarzuciłam, bo była zbyt intymna. Wersja, którą można odnaleźć w książce, jest owocem współpracy z moim znajomym Francuzem, pisarzem Borisem Phillipsem, jest więc niejako przefiltrowana przez francuską mentalność. Pomógł mi bardzo w redakcji w języku francuskim, dostosował także treść, by była czytelna i zrozumiana dla Francuzów”.

Powieść ma ciekawą konstrukcję zachęcającą do pogłębienia znajomości losów głównej bohaterki i przeczytania... 2-go tomu. Normalnie powinien się ukazać lada moment pod tytułem „Ego-grafia lub życie miłosne polskiej emigrantki”. Pierwszy tom przetłumaczony już został na język polski przez Jacka Giszczaka i lada moment ukaze się na polskim rynku wydawniczym.

Szczególnie podobał się Francuzom, którzy podkreślają, że dzięki niej zrozumieli czym była dyktatura proletariatu, która w powieści jest zaledwie tłem. Świrczewska mówi: „Moim nieśmiałym celem było uzupełnienie pewnej pustki istniejącej w literaturze francuskiej pomiędzy Wielką Emigracją polskich arystokratów w XIX wieku i Polakami przybyłymi po Traktacie Wersalskim. Mało pisze się o Polakach, którzy przybyli po II wojnie światowej. Podczas czasów komunizmu do Francji przybyło mnóstwo Polaków wykształconych. Niewielu Francuzów o tym pamięta”. Polskim czytelnikom z przyjemnością polecam tę lekturę, jak i wszystkie inne teksty Marguerite-Christine Świrczewskiej.

Wiatrak

Kontynuacja opowiadania z poprzedniego numeru Sceny Polskiej

http://www.poolspodium.org/pl/2020_3_4_scena.pdf



ALEK SILBER

– Cieszę się bardzo z tego spotkania – rozpoczęła – już dawno go do tego namawiałam. Ale wie tata, on też jest Dornem, a to uparte natury.

– No, no – powiedział żartobliwie ojciec.

– Właściwie można by powiedzieć, że żyje nam się nieźle. Leon jest niewątpliwie ogromnym zmartwieniem, ale myślę, że to mu przejdzie. Jeśli mam być uczciwa, to bardziej martwię się Michielem.

– A to dlaczego, czyżby jakaś choroba?

– Nie, broń Boże, a właściwie – zawiesiła głos – może to i choroba. Wie tata, on już od dłuższego czasu nie potrafi się cieszyć życiem. Pamięta tata, jak się kiedyś pasjonował tenisem. Mógł grać godzinami, i co więcej, z radością wyczekiwał spotkań na korcie, a po dobrym meczu wracał do domu zmęczony, lecz szczęśliwy, niemal uduchowiony. Uwielbiał także wspinaczki górskie. Potrafił miesiącami przygotowywać się do wyprawy. Robił to z zapalem i pasją, snuł plany i marzenia o Alpach, Himalajach. Kiedy wertował górskie atlasy, rozjaśniał mu się wzrok, był cały podniecony i pełen życia. Zresztą, miał wiele innych zainteresowań, lubił jazz, kino. Dziś Michiel jest wzytu z marzeń, nic go nie pasjonuje, niewiele interesuje, i to połowicznie. Kiedyś w rozmowie wyznał mi, że nie ma takiej rzeczy, która mogłaby mu dać szczęście, lub chociażby sprawić wielką radość. On na nic nie czeka.

– To straszne, co mówisz. Człowiek bez marzeń to żywy trup, to egzystencja bez esencji.

– Wiem o tym i dlatego patrząc na tatę, widząc nieustającą wołę życia i tyle radości wewnętrznej, pomyślałam, że może tata mógłby jakoś...

– To nie jest łatwe, mogę spróbować porozmawiać z Michielem. Bardzo mnie zmartwiło, to co powiedziałaś. A może on ma jakąś chorobę, o której nie wie, to się może przejawiać taką właśnie depresją.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Na szczęście jest fizycznie sprawny, rzadko choruje. Nie mogę tej ewentualności wykluczyć, ale jest ona mało prawdopodobna. Obawiam się, że jest to kryzys psychiczny, niestety trwający już od kilku lat.

– Porozmawiam z nim.

Michiel wszedł do pokoju niosąc herbatę i cukier – pomyłem co mogłem, ale trzeba jeszcze wszystko podstawić na miejsce.

– Już ja to zrobię, a potem pójdę wam przygotować nocleg. Zostaniecie na noc, prawda?

– Tata mi tylko pokaże co i gdzie, już ja to zrobię, tylko wypiję herbatę – po herbatce Jetta opuściła pokój, zostawiając mężczyzn samych. Rozpoczęli rozmowę wspomnieniami z dawnych lat, Michiel opowiedział ojcu o braciach, o swojej pracy, o dzieciach. Ojciec obserwował go uważnie i znalazł potwierdzenie słów Jetta, Michiel był bez życia, w jego głosie nie było entuzjazmu, nawet smutku. Wiało pustką i obojętnością. Dorn z trudem rozpoznawał w nim zbuntowanego, trudnego ale dynamicznego młodzieńca sprzed dwudziestu lat.

– Synu, nie wyglądasz na szczęśliwego, powiedz, czy coś cię gnębi?

– Rzeczywiście, przeżywam jakiś kryzys, lecz nie znam jego przyczyny. Ciągnie się to już od kilku lat.

– Wiele w życiu osiągnąłeś, może nie masz już po co sięgać, a w świecie jest tyle piękna i radości.

– Tato, ja już to wszystko słyszałem. Na pamięć znam receptury wszelkich „uzdrowicieli, myślicieli i uszczęśliwiaczy”. Chcę by mnie zostawiono w spokoju, takiego jakim jestem.

– Zechciej mnie jednak wysłuchać, jestem twoim ojcem. Chodź, pozwól, że coś ci pokażę – Dorn otworzył drzwi na ganek i zdjął z haka wiszącą lampę – wiesz, Karen była malarką. Pozostawiła mi niezwykle, najwspanialsze dzieło jakie znam – wyszli na zewnątrz i stanęli tuż pod osi wiatraka. Zaczynał chłodny deszcz.

– Widzisz te cztery ramiona? Godziny, miesiące, lata całe, obserwowałam ich wolny obrót, bezmyślnie, marnotrawnie. Aż przyszła Karen i namalowała na nich cztery obrazki. Spójrz, oto pierwszy – w świetle wzniesionej lampy ukazał się zalany deszczem, kolorowy wizerunek – widać było na nim zielone łąki w kwiatkach i paki tulipanów, słychać trzepot skrzydeł

ptaków powracających z ciepłych krajów, czuć zapach wiosny, zalotność dziewczyny i chłopięce marzenie o pocałunku. Topniały lody, świat budził się do życia z oków zimy.

Dorn przekreślił wiatrak, aż ukazało się następne ramię, na nim kolejny obraz – oto złote pola, pośród szumiących łąk czerwone maki. Czy nie czujesz promieni życiodajnego słońca, czy nie słyszysz bzykania ważki nad lilią wodną. Spójrz, dziewczyna rozbiera się, by skoczyć nago do czystego strumienia. Za drzewem czai się jej chłopiec, za chwilę wyskoczy niespodziewanie, dziewczyna krzyknie przestraszona, a gdy pozna swego ukochanego, obejmie go mocno i już nie puści. Zaśpiewa słowik, a wieczorem cykadę. Kłosa chyła się ku ziemi, brzemienne złotym ziarnem.

Dorn ponownie przekreślił ramiona wiatraka. Obaj stali przemoknięci, nie czując lodowatego deszczu. Po siwych włosach Dorna zciekały strużki wody, lecz w jego oczach było tyle żaru, mówił z takim przekonaniem i wiarą, że Michiel patrzył na migające w świetle lampy obrazki i słuchał zaintrygowany.

– Jesień czerwona, jesień złoto-brązowa. Z gniazd wylatują młode bociany niezgrabnie unosząc się nad babim latem. Skoszone siano leży w równych kupkach na ściętych łąkach. Kobieta kołysze dziecko do snu, starszy syn kopie piłkę na łące, a kieszeń jego pełna lśniących kasztanów. W młynie mieli mąkę, już czuć zapach świeżych bochnów i wilgotnych liści. Dni stają się krótsze, a przy wierzchy pojawiają się świece na stole.

Wreszcie zima – stary przekreślił wiatrak po raz ostatni – obraz był biało-szary. Spójrz na rzekę skutą lodem, wokół las niczym biała mozaika, cały w szronie, każda gałązka, każda witka, każde źdźbło trawy – bieluśkie, niczym broda Świętego Mikołaja, niczym włosy matki. Syn ukończył studia, będzie się żenił. Kaczki taplają się w przeręblu z trudem wyszukując robaki. Pośród milczących kamieni zabłyśły świece – zakończył ojciec wchodząc do mieszkania.

– Odkąd Karen namalowała mi te obrazki inaczej spojrzałem, nie tylko na obracające się ramiona wiatraka, ale i na całe życie. Patrząc na mijające pory roku, na ową niezłomną, a zarazem fascynującą cykliczność, nauczyłem się dostrzegać piękno stworzenia, a w nim siebie jako

integralną część tego cudownego świata. W owym kole nie ma początku ani końca, ani dla świata, ani dla mnie. Nagle kształt jesieni stał się równie piękny, jak kolor lata, a zapach wiosennych bzów nie ustępował ciepłu świec na kamieniach. Jeśli to pojmiesz, wszystko inne stanie się dla ciebie błahe...

– Czyście wy oszaleli! – wybuchnęła Jetta na ich widok – Michiel, jakże mogłeś pozwolić ojcu tak zmoknąć. I ty też na wskroś, no zwariowali. Czy tata ma coś na zmianę?

– W łazience jest... – Dorn zaciągnął się kaszlem – w łazience wisi mój szlafrok, przynieś mi go z łaski swojej.

– A tata niech się natychmiast rozbiera. I ty też – zbiegła po schodach – no odbiło im kompletnie. Listopad, dwa stopnie, zdawałoby się dorośli ludzie.

Gdy wróciła, stali już rozebrani, koszulami zakrywając wstydlive części ciała. Dorn włożył szlafrok i nalał wszystkim po szklaneczce whisky. Michiel zmienił ubranie i ze zdumieniem spostrzegł, że było już po dwunastej. Dopili więc swoje drinki, zagrzali się i zaczęto przygotowania do nocy.

– Co wam w ogóle strzeliło do głowy, żeby w taką pogodę wychodzić na zewnątrz – już spokojniej zapytała Jetta – i stać tam tak długo?

– Wina jest całkowicie moja, chciałem pokazać coś Michielowi, obrazy na ramionach wiatraka. Przyznam szczerze, nie zauważyłem pogody, ale jestem pewien, że nic nam nie będzie. No, a teraz chodźmy już spać, dobranoc moi mili, do jutra.

Nazajutrz rozpogodziło się, wiał lekki wiaterek. Michiel wstał pierwszy. Ujrzawszy słoneczny poranek, zapragnął zobaczyć wiatrak w ruchu. Wyszedł na zewnątrz by naciągnąć płótno na jego badyłaste ramiona. Skrzydła zaczęły się wolno obracać. Michiel stanął, gdzie zwykł stawał ojciec, przy sterze. Z ciekawością obejrzał mosiężne zdobienia na wypolerowanym kole. Pokręcił nim lekko w lewo, w prawo, uśmiechnął się pobłażliwie. Poprzez obracające się ramiona wiatraka spoglądał w dal, na zielone łąki, a za nimi morze. Ciszę mącił jedynie cichy szum obracających się skrzydeł – zima, wiosna, lato, jesień. Lato, jesień, zima, wiosna... Michiel podszedł do stereo, wyszukał „Cztery pory roku” Wiwaldiego. Było to doskonale nagranie w wykonaniu I Musici. Po chwili rozległy się znajome dźwięki skrzypiec. Stanął nieruchomo przy oknie, wspominając słowa ojca. Pozornie brzmiały one wspaniale; cykliczność, brak początku i końca, radość chwili. Lecz jemu, Michielowi, nie rozwiązywały niczego. Jego



świat miał określony początek, koniec i ciernistą drogę pomiędzy tymi dwoma punktami. Dla niego obracające się ramiona przecinały czas, niczym pług rozszywający bezbroną ziemię. I nie było ucieczki ani od początku, ani od końca ani od łączącej je drogi, co gorsze, nie było ucieczki od siebie. Stał tak skupiony dokąd nie przebrzmiały ostatnie tony zimy. Nie zauważył Jetta, która w międzyczasie cicho weszła do pokoju i patrzyła na męża z mieszaniną radości, troski i współczucia. W takich chwilach wzbierała w niej fala miłości do Michiela.

On odwrócił się zamyślony – o, nie wiedziałem, że tu jesteś, dzień dobry – Jetta podeszła do męża i w milczeniu pocałowała go. Jeszcze chwilkę stali razem przy oknie, po czym zaczęli przygotowywać śniadanie.

– Zaparz kawę, a ja pójde obudzić ojca – zaproponowała Jetta.

Lecz nim zdołał odnaleźć kawę, wróciła zaniepokojona – chodź prędko, z ojcem coś jest nie dobrze. Razem weszli do sypialni ojca. Dorn leżał z zamknię-

c.d. na str. 26 >>>

>>> c.d. ze str. 15

tymi oczami, twarz cała gorejąca zalana białym potem.

– Tato, tato – próbował Michiel. Ojciec nie odpowiadał. Michiel przyłożył mu ucho do piersi. Oddychał.

– Ma wysoką gorączkę. Może obetrzeć mu twarz wilgotną szmatką – Jetta pobiegła do łazienki. Przyniesionym ręczniczkiem zaczęła delikatnie dotykać spierzchnięte usta, policzki, potem resztę twarzy. Ojciec poruszył się nieznacznie i otworzył zamglone oczy – gdzie ja jestem?

– W domu, u siebie, wśród swoich, wszystko będzie dobrze, musi tata trochę wypocząć – uśmiechnęła się Jetta. Dorn usiłował odwzajemnić uśmiech, lecz wyszedł mu jedynie niezręczny grymas – jesteście dobrymi dziećmi.

– Sza, tata wypoczywa, potem będziemy rozmawiać.

Oczy Dorna znowu się przymknęły. Jetta nadal ocierała twarz – jeśli się nie poprawi, powinniśmy pojechać do szpitala.

– Sprawdzę, gdzie jest najbliższa przychodnia – Michiel zbiegł do auta po mapy. Głosy mówiących dochodziły Dorna jakby zza świątów. Kręciło mu się w głowie, a przed zamkniętymi oczami przesuwaly się jakieś obrazy. Zrazu niewyraźne, stopniowo zaczęły nabierać ostrzejszych form, barw i dźwięku.

Biegł wzdłuż Wechtu, rzeki swojej młodości. Pełną piersią wdychał chłodne jesienne powietrze. Każdy oddech znaczył obłoczek pary z ust. Młody Jan nie wiedział co to zmęczenie, mógł tak biec bez końca. Po obu stronach ścieżki, niczym gwardia honorowa, stały dwa rzędy topoli, złotymi liśćmi wyścielając ścieżkę, żeby mu było miękko i pięknie. Lubił biec z głową odwróconą na bok, wówczas świat przesuwał się, niczym w filmie. Biegł obok stylowych willi o dużych żelaznych bramach. Przed ich wejściami czuwały kamienne lwy. Gdy je mijał, uśmiechały się do niego. Znały go. Biegł wzdłuż zielonych łąk – wilgotnych, soczystych. Nad nimi, niczym zwiewne pierzyny, unosiły się mgły. Okręcały się wokół drzew i pełzały leniwie nad śpiącymi owcami. Za sadzawką stały łacie krowy, jego – holenderskie krowy, o wielkich brązowych oczach i potulnych pyskach. Machały mu ogonami. Jan odmachał im ręką. Od pół szedł silny zapach nawozu, świdrujący ale swojski. Zbliżył się do zamku, który jeszcze spał. Małe okienka zasłane były powiekami okiennic w kolorze czerwono-żółtym, jak koszulka Jana. Biegł wzdłuż fosy, obok zwodzonego mostu. Na moment, poprzez mgłę mignęło słońce, odbijając się tysi-

cem iskerek w martwej wodzie. Jan nie zdążył nacieszyć wzrok owym skrzącym kalejdoskopem, kiedy zabrzmiały dzwony na wierzy. Biły miarowo i tak głośno, aż dudniło w całej wiosce, kto wie czy nie w całym kraju. Za fosą ciągnął się wąski kanał całkowicie pokryty glonami, niczym gładki zielony chodnik. Zawsze marzył aby po nim przebiec, nigdy jednak nie starczyło mu na to odwagi. Dopiero dziś, teraz uwierzył, że potrafi. Zbiegł ze ścieżki i zdziwiony własnym męstwem, wbiegł na jego kuszącą powłokę. Począł odbijać się stopami od glonowej tafli, z każdym krokiem wznosząc się coraz wyżej, aż sięgnął ponad mgły, gdzie kołatały roz hulane dzwony. Pięknie tu było, ale musiał biec dalej, do swojej łodzi ukrytej w chatce. Już z daleka rozpoznał słomianą strzechę na kurzych łapach przycupniętą na wodzie, tuż przy ścieżce. Lecz co to? – chatka odpłynęła od brzegu uśmiechając się doń zawadiacko. Nim się zdążył zastanowić, jak przemierzyć wodę, z pomocą przyszyły mu lilie wodne; rozpostarły się szerokimi liśćmi pomiędzy brzegiem a chatką wytyczając kwiecisty szlak. Jan przebiegł po nim bez trudu, wydobył łódź i przygotował do rejsu.

Jetta i Michiel nachylił się nad ojcem zaniepokojeni. Gorączka nie ustępowała, nie pomagały chłodne okłady. – Jedyne – powiedział krótko Michiel. Razem znieśli ojca do samochodu i ułożyli na tylnym siedzeniu. W pośpiechu kompletnie zapomnieli o psie. Szaman widząc odjeżdżający samochód ze swoim panem, wyskoczył z ganku na piętrze i pocwałował za znikającym autem. Jetta doglądała ojca. Uczucie rosnącego niepokoju mieszało się z podziwem. Mimo ciężkiego stanu i gorączki, na jego twarzy pozostawał pogodny uśmiech, jakby nie z tego świata.

Rzeka budziła się właśnie ze snu. Przeciągnęła się i ziewnęła leniwie, unosząc w górę pierzynę porannych oparów. Jan pociągnął wiosła i łódź, niczym ostry nóż, przecięła jednocześnie gęstą mgłę i zastygłą powierzchnię wody, sunąc niczym zjawa przez nierealną przestrzeń. Był to ruch w bezruchu, ni to lot, ni płynięcie – bezdźwięczne, nieme, szare, nieostre. Na leniwej fali za łodzią zakolysały się sennie wczorajsze kaczki. Wśród nich sunął okręt gigant, łódź fantom, pchana mocnym, acz powolnym wiosłem. Nad długim dziobem górował ogromny czerwono-żółty tors, jego kolory ledwo widoczne poprzez gęstą mgłę. Obok przesuwały się nieruchome sitowia, zielone brzegi i uśpione łódki przytroczone do drewnianych pali. Oddaliła się chatka na kurzych łapach, zamek zniknął we mgle. Jan przyspieszył, lubił patrzeć, jak

obok burty ucieka woda, na niej migające patyki i liście, kolorowy dywan sunący z zawrotną prędkością.

Za zakrętem Wecht rozszerzył się i spoważniał. Brzeg stał się dostojniejszy, a na nim czekały konie; ogier i źrebak. Gdy ujrzały znajomą łódź Jana, zaczęły biec wraz z nim, wzdłuż brzegu. Ich niewyraźne sylwetki wyciągały się w galopie, poruszając się jak w zwolnionym filmie. Przednie nogi w górę, nad nimi rozwiane grzywy, tułowia, tylne nogi i kopyta, spod których wznosiły się grudki wilgotnej ziemi. Długim łukiem szybowaly w powietrzu, a gdy opadały na ziemię, konie były już hen, daleko. Pierwszy biegł ogier, za nim – trochę niezdarnie – źrebak. Towarzyszyły Janowi aż do końca polany, gdzie go pożegnały donośnym rżeniem.

Pomiędzy nadbrzeżnymi wierzbami ukazały się domki na wodzie; czerwone i czarne, drewniane i ceglane. W oknach budziło się życie, pierwsze nieśmiałe dźwięki, jacyś ludzie, ich sylwetki odbijały się w parującej wodzie. Rzeka zwężyła się teraz, by wypłynąć do Maarssen. Miasteczko zdawało się jeszcze spać. Po obu stronach rzeki wyrosły domki zabawki; harmonijne w swojej różnorodności, uroczo niezgrabne, zarazem proste i ornamentalne, krzywe i pod linijkę. Łódź wpłynęła teraz pod most zwodzony, a gdy tylko dziób wynurzył się z jego cienia, rozbrzmiały dzwony kościelne. Jednocześnie zniknęły gdzieś mgły i ukazało się słońce. Widocznie dopiero weszło, gdyż jego złota tarcza ledwie wznosiła się ponad horyzontem. Nagły blask oslepił Jana, odwrócił głowę w bok. Brzegiem szli ludzie, odświętnie ubrani; w długich paltach, kapeluszach, posuwali się spokojnie, majestatycznie, trzymając za rączki dzieci. Zapewne szli do kościoła – musiała to być niedziela. Idący przystawali, śledzili ruch łodzi i kiwając głowami w podziwie, pozdrawiali go miłym uśmiechem – dzień dobry Janie. Dzieci dopingowały wioslarza, radośnie wymachując trójkolorowymi chorągiewkami. Nawet para starszków jadących na rowerach trzymając się za ręce, przesłała mu ukłon. Jan przyspieszył i poczuł jak krople potu spływają mu do oczu. Zmrużył je i spuścił wzrok. Przez wąskie szparki widział dziób łodzi sunący prosto w złotą smugę coraz jaśniejszą. I oto żółty kolor koszulki, zlał się z miodowym kolorem drewnianej łodzi, która wtopiła się w złotą smugę biegnącą do samego słońca. Jan poczuł, jak łódź przyspiesza mimo, iż odłożył wiosła. Rzeka przechyliła się, jej wody poczęły staczać się kolistym wodospadem, niosąc łódź prosto w kulę gorejącą, coraz prędzej, prędzej... A szum wody zagłuszył nawet rozszalałe dzwony...

Moje 30-letnie stwardnienie rozsiane oznacza duży postęp niesprawności, która z roku na rok czyni życie (moje i opiekujących się mną moich bliskich) - coraz trudniejszym. Konieczna terapia i ciągła rehabilitacja domowa czy wyjazdowa - to ogromne koszty. Refundowane przez NFZ programy lekowe obejmują jedynie ich niewielką część. Wierzę, że jesteś osobą, która pomoże mi w walce z moją niepełnosprawnością. Może są także życzliwe osoby wśród Twoich bliskich, rodziny, przyjaciół, współpracowników... - proszę przekaż im moją prośbę!

Fundacja Dobro Powraca prowadzi dla mnie Subkonto, które umożliwia zbieranie wpłat 1%. Dzięki temu mogę gromadzić środki na leczenie i rehabilitację oraz zdecydować o ich wydatkowaniu, zgodnie z regulaminem. zobacz:

www.dobropowraca.pl/subkonto/o-subkoncie

Wypełniając PIT wpisz:

KRS 0000338878 cel szczegółowy: **DANUTA ŁAWNICZAK**

ps. **UWAGA ZMIANA KRS-u!**

Do tej pory miałam Subkonto pod nr KRS 0000137276.

Istnieje okres przejściowy, jeśli ktos wpłacił na KRS poprzedni - środki nie przepadną!



Jednocześnie serdecznie DZIĘKUJĘ

za każdy, choćby najmniejszy 1% w ramach PIT za rok bieżący, lata poprzednie i następne !



Przekaż swój

1% podatku

Nazywam się Marcin Patan mam 35 lat i choruję na nieuleczalną chorobę, jaką jest SM (stwardnienie rozsiane).

Niestety w Polsce leczenie i rehabilitacja mojej choroby jest bardzo kosztowna, a zarazem bardzo lotna do tego bym, jak najdłużej mógł utrzymać sprawność i samodzielnie się poruszać.

Dlatego zwracam się z prośbą do Państwa o pomoc w postaci przekazania 1% podatku

KRS FUNDACJI: 0000 33 88 78

Cel szczegółowy: Marcin Patan

Można również przekazać darowiznę za pośrednictwem Fundacji Dobro Powraca na moje subkonto.

nr konta Fundacji: 95 1140 1140 0000 2133 5400 1001

w tytule wpłaty proszę wpisać: darowizna dla Marcina Patan

Pamiętaj! Dobro zawsze powraca!

Serdecznie dziękuję!



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

Heb je wel eens een eland of wisent in het echt gezien? Kilometers lange fiets- en wandelpaden slingeren door een van de oudste nationale parken in Europa.

Het Białowieża Nationaal Park is erkend door UNESCO als "World Biosphere Reserve" en is tevens vermeld op de lijst van Wereld Cultuur Erfgoed.

Ontdek de geheimen van het Białowieża oerbos!



www.polen.travel

**BIAŁOWIEŻA
NATIONAAL PARK
IN POLEN**